NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 17 sierpnia 1907. Nr. 33.

Straszna katastrofa kolejowa.

(Treść na stronie 2)



Straszna katastrofa kolejowa.

Wstrząsające wieści nadeszły w ubiegłym tygodniu z pod Trzemeszna obok Gniezna, gdzie w nocy z wtorku na środę wydarzyła się okropna katastrofa kolejowa, jedna z najstraszniejszych ostatniej doby. Uległ mianowicie wykolejeniu, a w następstwie tego rozbiciu pospieszny pociąg, kursujący między Toruniem a Poznaniem, skutkiem czego dziewięć osób utraciło życie a około pięćdziesięciu odniosło rany, z czego kilkanaście ciężkie.

Nieszczęsny pociąg opuścił Toruń we wtorek w nocy o w pół do dwunastej, przepełniony podróżnymi; przepełnienie to powtarza się codziennie niemal, pociąg ten bowiem jest bardzo dogodny, gdyż staje w Berlinie już o 5 rano. O godzinie 1 przejechał przez Trzemeszno i zatrzymawszy się tu bardzo krótko, podążył ku Gnieznu. Tymczasem tuż za Trzemesznem, przed stacyą Talsee, uległ katastrofie. Oto skutkiem rozluźnienia się szyn a przyspieszonego biegu pociągu, zaprzężonego w dwie maszyny, nastąpiło na wielkim nasypie wykolejenie obu maszyn oraz czteru wozów osobowych. Przednia maszyna przewróciła się z nasypu na prawy bok a jej tender zaległ ukośnie na szynach, druga zaś wyskoczyła również ze szyn, ale znalazłszy oparcie w tamtej, wryła się tylko kołami głęboko w ziemię. Straszny natomiast los spotkał przednie wozy osobowe pociągu. Wbiły się one w siebie, nadziewając formalnie nawzajem. Wszystko przytem runęło z plantu na stok a następnie w rów, tworząc kupę drzewa i żelaziwa połamanego, pogruchotanego i krwią nieszczęsnych ofiar wypadku zlanego. W tym wstrząsającym chaosie powstał na dobitek pożar, co jeszcze bardziej zwiększyło grozę położenia. A równocześnie rozległy się bolesne i do głębi wzruszające jęki rannych, wołanie o pomoc, krzyk uratowanych, co wszystko w cieniach ponurej nocy, przy słabem oświetleniu kilku latarń, tworzyło obraz straszliwy i groźny.

Początkowo nie podobna było zdać sobie sprawy z rozmiarów katastrofy. A były one ogromne. Nieszczęście zaskoczyło pędzący pociąg w nocy, gdy większość podróżnych pogrążoną była w głębokim śnie. W pierwszych wagonach skutki wykolejenia okazały się najgorsze. Tam też prócz wielu zabitych było mnóstwo rannych. Bez uszkodzenia nie wyszedł prawie nikt.

Wstrząśnienie nastąpiło nagle, i było ogromnie gwałtowne. Podróżni odnieśli wrażenie, iż most zapadł się pod pociągiem. Przytomniejsi wybijali szyby w oknach i tą drogą wydostawali się na zewnątrz. Ci też, którzy ocaleli, rzucili się pierwsi na pomoc zagrzebanym w gruzach rozbitego pociągu. Ponieważ drzwi i okna roztrzaskanych wagonów były zupełnie zabarykadowane, musiano rozbijać całe ściany, by dostać się do wnętrza i oswobodzić rannych z okropnego położenia. Szczególną brawurą odznaczył się w tej akcyi pewien młody Polak z Królestwa Polskiego, który z narażeniem własnego życia i zdrowia, spieszył na pomoc nieszczęśliwym towarzyszom podróży.

Prawidłowy ratunek rozpoczął się dopiero w parę godzin, gdy nadeszły pociągi ratunkowe z dwu stron. I potem jednak wydobywanie zabitych i rannych połączone było z niesłychanemi trudnościami. Niektórzy ranni musieli przebyć po kilka godzin w okropnem położeniu, zanim zdołano do nich dotrzeć i ulokować ich w bezpiecznem miejscu.

Według ostatnich wiadomości utraciło życie pod Trzemesznem dziewięć osób, z czego ośm zginęło na miejscu, jedna zaś zmarła w kilka godzin skutkiem odniesionych ran. Ciężko rannych jest osób kilkanaście, a około trzydziestu odniosło lżejsze obrażenia.

Opinia publiczna obwinia głośno zarząd kolei jako sprawcę strasznej katastrofy. Przyczyną bowiem było rozluźnienie szyn przy naprawie toru. Rząd okoliczności tej bynajmniej nie przeczy.

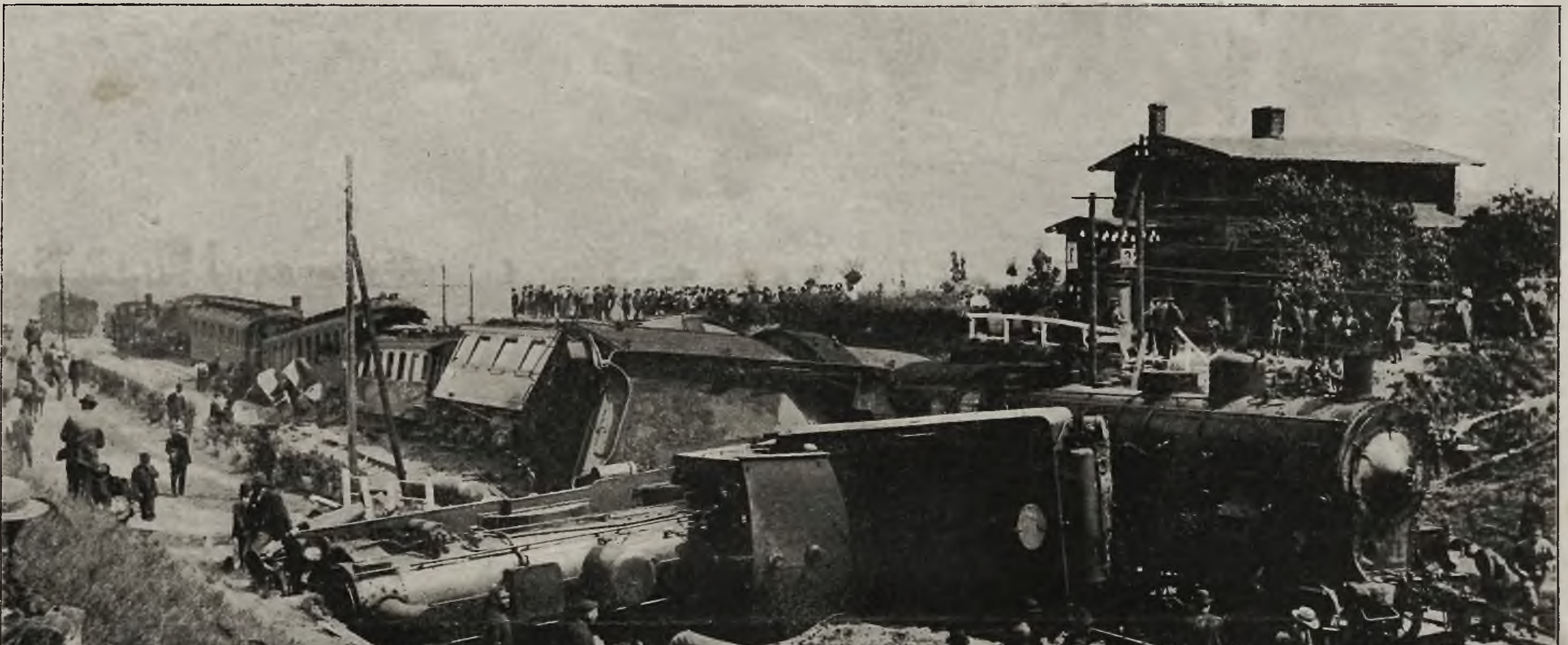
Rycina tytułowa przedstawia pociąg pospieszny w chwili okropnego wypadku, nadto zamieszczamy obok dwa zdjęcia fotograficzne, dokonane na miejscu katastrofy dnia następnego. Jedno z nich przedstawia obie maszyny pociągu oraz wagony osobowe, drugie zaś pogruchotane wagony.



Skon zasłużonego kapłana: Śp. ks. Stanisław br. de Puget-Puszet

Skon zasłużonego kapłana.

Bolesną wiadomością przychodzi nam dziś podzielić się z Czytelnikami. Oto w Dukli zmarł w ubiegłym tygodniu ks. kanonik Stanisław Puszet, od lat wielu katecheta gimnazyum Sobieskiego w Krakowie, prawdziwy, pełen głębokich zasług przyjaciel uczącej się młodzieży, dobroczyńca jej i kierownik duchowny. Społeczeństwo polskie, Kraków, a zwłaszcza jego młodzież, dotkliwą poniosły szkodę przez zgon świątobliwego tego i zasłużonego kapłana. Od



Fot. J. Trando, Inowrocław.

Straszna katastrofa kolejowa: Maszyny pociągu, który się wykoleił pod Trzemesznem.

lat 34 w Krakowie osiadły, zżył się śp. ks. Puszet i z miastem, które ukochał całem sercem i z jego gronem nauczycielskiem i z młodzieżą, którą prowadził i kształcił. Znana jego wątła postać, ciesząca się tak wielką i tak powszechną sympatyą, znika z pośród nas a lukę, jaką po sobie zostawi, nie łatwo będzie wypełnić.

Ks. Stanisław Puszet urodził się w 1841 r. w Dębianach w Królestwie, jako syn Ignacego bar. du Puget-Puszeta i Albertyny z hr. Męcińskich z Dukli. Straciwszy w dziecięcym wieku rodziców, wychowywał się pod okiem dziadka wujecznego, ks. biskupa Łętowskiego. Szkoły średnie ukończył w Krakowie a czując w sobie powołanie duchowne, wstąpił do seminaryum duchownego we Lwowie, gdzie jego stryj, ks. Franciszek Puszet, był kanonikiem kapituły. Zawód kapłański rozpoczął na prowincyi, poczem wrócił do Lwowa, gdzie brał żywy udział w ruchu publicznym i literackim. W r. 1873 przeniósł się do Krakowa i od razu rozpoczął to, co stało się odtąd głównem zadaniem jego żywota i tegoż najchwalebniejszą zasługą. Oto pod jego okiem spędzili wtedy ostatnie lata gimnazyalne i uniwersyteckie Jerzy i Jan Mycielscy, Jan, Stanisław i Szczepan Tarnowscy, a dalej Artur Reisky, Tadesz Koziebrodzki, Zdzisław Lubomirski, Zdzisław i Juliusz Tarnowscy. Na nich wszystkich ks. Puszet trwały wywarł wpływ i wszyscy oni do najdawniejszej, prywatnej wówczas szkoły jego liczyć się mogą. Z biegiem lat ten zapał do nauczania i do wpływu na młodzież rósł coraz więcej. I stał się powodem, że ks. Puszet objął obowiązki katechety, naprzód w gimnazyum św. Jacka, następnie w gimnazyum im. Sobieskiego.

I odtąd całe zastępy młodzieży wychodzą rok za rokiem z pod jego ręki, z zasadami głęboko religijnemi.

Od kilku lat podcięty nurtującą go chorobą, pracował mimo to wytrwale do ostatnich chwil życia. Jeszcze przed Wielkanocą tegoroczną odbył rekolekcye, które go tak wyczerpały, iż zemdlał podczas wykładu. Z końcem czerwca pożegnał się z umiłowaną szkołą, która była celem jego pełnego poświęcenia życia — i wyjechał do Dukli, gdzie w starym zamku pradziadów oddał bogobojnego ducha.

Schodzi z nim do grobu wysoce szlachetna postać, o gorącem sercu, o świątobliwości wyjątkowej, o duszy czystej, gołębiej niemal, o zasługach niezwykłych.

Schodzi ze świata pozostawiając po sobie pamięć serdeczną w duszach dwu pokoleń, i żal szczery i powszechny. Ta pamięć jego zasług będzie dlań pomnikiem — „aere perennius“.

Cześć jego pamięci!



Wielki artysta w Krakowie: Bolesław Leszczyński artysta teatrów warszawskich.

Wielki artysta w Krakowie.

W murach Krakowa bawił przed kilku dniami sympatyczny gość z Warszawy, jeden z największych artystów dramatycznych polskich, Bolesław Leszczyński. Po trudach całorocznej pracy na scenie Teatru Rozmaitości, pracy zakończonej uroczystem, benefisowem przedstawieniem, znakomity tragik warszawski udaje się na odpoczynek do Algieru, w drodze zaś wstąpił do Krakowa.

Bolesław Leszczyński rozpoczął karyerę artystyczną już bardzo dawno, bo przed czterdziestupięciu laty. W początkach jej występował we Wilnie, następnie we Lwowie za dyrekcyi Miłaszewskiego, w Krakowie pod Koźmianem, a i sceny prowincyonalne gościły go niejednokrotnie. W Warszawie wystąpił pierwszy raz w 1866 r. w dramacie „30 lat z życia szulera“; epokowymi zaś w jego karyerze były występy w roli Karola Moora w „Zbójcach“ i w tytułowej w „Otellu“. Od tego też czasu Leszczyński jest stale członkiem personalu teatrów warszawskich.

W otoczeniu artystów tej miary, jak Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska, Romana Popiel — talent młodego podówczas aktora skrystalizował się, spotężniał. Wnet też Leszczyski zajął jedno z pierwszych miejsc, jako przedstawiciel partyi bohatersko-dramatycznych, do których posiadał znakomite warunki zewnętrzne, wsparte głęboką inteligencyą i duszą na wskróś artystyczną. Jego Otello, król Lear, Macbeth, Syn puszczy, Wojewoda (w Mazepie) — to wszysko postacie, drgające życiem, pełne ekspressyi dramatycznej, znakomicie pojęte i znakomicie odtworzone. Również w sztukach współczesnego repertuaru dramatycznego Leszczyński miał szerokie pole do popisu. Bo talent jego jest wielki, jest potężny i w każdej roli jaśnieje blaskiem niezwykłym.

To też trudno zrozumieć, dlaczego genialnego tego artystę, który kreacyami swemi porywa zawsze i do głębi wzrusza dusze widzów i słuchaczów, dlaczego w ostatnich czasach tak rzadko go pokazywano. I dlaczego artyście tej miary dano benefis w czasie, gdy Warszawa pusta, gdy z góry można było przewidzieć, że przedstawienie minie bez wrażenia. Leszczyńskiemu należy się za jego pracę, za tyle lat służby gorliwej, za tyle kreacyj świetnych — wieczór przygotowany z całym pietyzmem, wieczor z wielkim programem. I tak niewątpliwie będzie.

Z wielkim artystą warszawskim mieliśmy sposobność rozmawiać przed paru dniami, gdy bawił w przejeździe w Krakowie. Potężna jego postać,



Fot. J. Trando Inowrocław

Straszna katastrofa kolejowa: Widok rozbitych wagonów osobowych.



Rzezie w Marokku: Widok portu w Casablanca.

oczy pełne blasku i ognia, czoło wysokie, głos dźwięczny a miękki i w potocznej mowie wielkie czyni wrażenie.

Rzezie w Marokku.

Marokko, nad którem co pewien czas radzą państwa europejskie i uchwalają dlań co raz to nowe rozporządzenia, ciągle okazuje swe niezadowolenie z Europy, a okazuje je w sposób bardzo stanowczy, bo przez mordowanie jej przedstawicieli. Niezbyt dawno zginął tam okrutną śmiercią dr. Mauchamp, dzisiaj zaś ofiarą wrogiego usposobienia tubylców padło kilkadziesiąt osób Francuzów, Włochów, Hiszpanów, których śmierć była okrutną, bo poprostu rozszarpano ich żywcem.

Przyczyny obecnych krwawych rozruchów były najrozmaitsze: roboty Europejczyków w porcie w Casablanca, uprowadzenie kilku Maurytanek, oraz stanowisko władz wobec ludności. Wobec objawów nieprzyjaźni ludność europejska zaczęła się kryć w konsulatach, które przedstawiały na razie bezpieczniejsze schronienie, gdy jednak z krążownika „Galitée“ wysiadło 100 żołnierzy, by stanowić obronę konsulatów, krajowcy poczęli ich ostrzeliwać i 6 marynarzy i 1 oficera ciężko raniono. Wobec tego gdy na krążowniku „Gatilée“ usłyszano strzały, rozpoczęto bombardowanie dzielnicy marokańskiej w Casablanca i jej okolicy, aby pobliskich szczepów nie dopuścić do miasta; wskutek tego bombardowania zginęło kilkuset marokańczyków, arabskie przedmieście leży w gruzach, a miasto całe w płomieniach. Przedsięwzięte przez Francuzów kroki rozjątrzyły bardzo nie tylko ludność, ale i wojsko, tak iż musiano przystąpić do jego rozbrojenia. Nie wiele to jednak pomoglo, nie ostudziło nienawiści Marokańczyków, którzy atakowali konsulat francuski, a potem rzucili się do plądrowania miasta, a głównie dzielnicy żydowskiej, gdzie padło wielu żydów. Splądrowano też bank państwowy, zagrabiając 60 tysięcy pesetów.

Jednocześnie poczęły dochodzić bardzo smutne wieści i z innych okolic, że ludność cała zaczyna się burzyć nawet przeciw własnemu sułtanowi a w rozruchach przyjmuje udział i regularne wojsko. Pod Tangerem wojsko francuskie musiało odeprzeć atak sześciotysięcznego oddziału konnicy marokańskiej. Tutaj na widownię wystąpił „prorok“ Ma-el-Ainin, który zagrzewa ludność do świętej walki.



Rzezie w Marokku: 1. Życie uliczne w Casablanca; 2. Przed urzędem cłowym; 3. Port w Casablanca; 4. Pod murami miasta; 5. Typy uliczne.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

34 Ciąg dalszy.

Więc precz ze separatyzmem! precz z narodowością! precz z Polską! My, robotnicy, my socyalni demokraci, zdepczemy nacyonalistyczne zachcianki polskie, a tego ich orła białego, a dzisiejszą gęś białą, upieczemy na ogniu. Hej towarzysze wspólnie: precz z Polską! precz z białą gęsią!

— Współczuję z wami — rzekł Kola, ściskając rękę Porwy — sam włoczyłbym mu w gardło te podłe słowa.

— Obłęd towarzyszu — odpowiedział Porwa — i tem się pocieszam, że takich warchołów jest garstka, ona uschnie i odpadnie od narodu... Cóż towarzyszko — zwrócił się do Logiki — czy tamten z Brackiej był wyjątkiem?

— Zważcie, że taki dzień podnieca, upaja, oni nie liczą się ze słowami — odpowiedziała dość cierpko Logika.

Porwa przecisnął się do schodów i wreszcie stanął na t. zw. mownicy.

— Towarzysze! — zawołał wielkim głosem, a gdy się cokolwiek uciszyło, mówił: — święcimy dziś dzień wolności. Głośno i swobodnie rzucamy nasze hasła... ale są nasi towarzysze, którzy jęczą w lochach więziennych, dla których nie zaświtało słońce wolności. Idźmy do nich, niech posłyszą naszą pieśń zwycięską, żądajmy ich uwolnienia, bo dziś dzień prawa, a oni bezprawnie są więźniami! Naprzód towarzysze! Do ratusza po więźniów! Naprzód!

— Naprzód!... Do ratusza! — wyrwał się okrzyk z tysiąca piersi i jak grzmot w górach rozbija się tysiącznem echem, tak i hasło: po więźniów! doleciało do wszystkich dzielnic i wstrząsnęło całem miastem.

Ktoś z tłumu krzyknął:

— Zabierzmy muzykę z cyrku!

— Naprzód!... Z muzyką!... To nasz dzień!... Dzień wesela!... Dzień wolności!

Olbrzymi pochód z czerwonymi sztandarami wyruszył i rozlało się mrowie ludzkie na placu Wareckim.

Część publiczności poszła na Ordynacką po muzykę cyrkową. A gdy mimo szumu i gwaru głosów ludzkich zabrzmiała muzyka ognistej marsylianki, cały tłum ludu przez Warecką, Świętokrzyską i Chmielną ruszył na Nowy Świat.

Gdy muzyka skończyła Marsyliankę, zawołano „Czerwony Sztandar“. Wszystkie okna były oświetlone, tak że na ulicy, mimo zapadłej nocy, było jasno i widno.

Wszystkiemi ulicami spieszyły tłumy na Plac teatralny i jedno tylko słowo zabrzmiało tonem groźnej prośby:

— Więźniów!... Więźniów!

Oberpolicmajster spojrzał przez okno na nieprzejrzane mrowie głów ludzkich, obliczył słabe siły rezerwowej policyi w ratuszu i telefonował do Czerniejewa:

— Stosownie do rozkazu, kazałem z cyrkułowych więzień wypuścić aresztowanych manifestantów, teraz tłum żąda wypuszczenia więźniów z ratusza. Co robić?

— Zatrzymać skazanych wyrokiem, innych według uznania pańskiego wypuścić.

A za oknami, na Placu, coraz głośniej lud woła:

— Więźniów!... Więźniów!

I nagle padło słowo radosne:

— Idą!... Wolni!

W jednej chwili utworzono szpaler od ratusza ku Wierzbowej. Ciężkie wrota zgrzytnęły i ukazało się pierwszych trzech więźniów, wprawdzie bladych, zmęczonych, lecz z twarzą rozradowaną, jaśniejącą.

Co bliżsi porwali ich w objęcia i wzniósł się okrzyk tryumfu i szczęścia:

Niech żyje wolność!

Tysiączne głosy powtórzyły go i w tej chwili na oświetlonym tarasie Teatru Wielkiego zjawili się wszyscy artyści i zabrzmiał wspaniały hymn narodowy: „Boże, coś Polskę“.

I teraz, jak zawsze, uczucie narodowe odniosło tryumf nad wyrozumowanemi przekonaniami i cała ta olbrzymia fala chwytała ton i słowa i rozbrzmiewała wspaniała pieśń. Podwoje ratusza otwierały się co kilka minut i wychodzili więźniowie a setki matek, sióstr, kochanek, ojców i braci wypatrywały z utęsknieniem, kiedy zjawi się więzień ukochany. Z tarasu teatralnego wzniosła się pieśń robotnicza: „Czerwony Sztandar“.

Z bramy ratusza wyszła sama jedna Wanda.

Zaledwie miała czas spojrzeć na rozśpiewany i rozkołysany tłum swemi błyszczącemi szczęściem i radością oczyma, gdy otoczyli ją Logika, Bal, Kola, Porwa i niemal nieśli ją przez szpaler ku Wierzbowej. Już byli blisko rogu Niecałej, gdy z tłumu wyrwał się radosny głos:

— Błyskawica!

Był to zwrotniczy w towarzystwie kolejarzy, szybko zbliżył się do Wandy, uścisnął jej rękę i pochwyciwszy podniósł w górę, wołając:

— Wiwat Błyskawica! — a okrzyk ten pochwycił tłum i zewsząd zabrzmiało:

— Wiwat Błyskawica!

Wreszcie udało się Porwie i Balowi dostać Wandę w swą opiekę a troskliwa Logika zapytała:

— Głodnaś może?

— Nie, tylko umyć i oczyścić się z robactwa... Czy rząd padł? — zwróciła się do brata.

— Jeszcze nie, ale jest na najlepszej drodze — uśmiechnął się.

Zbliżali się do Czystej, gdy uszu ich doleciał tysiączny głos:

— Więźniów!... Więźniów!

Brama ratusza została zamknięta. Co gorętsi zaczęli napierać, a na samym przedzie szła Gwalberska, blada, drżąca, pomiędzy nadzieją i rozpaczą. Kordon policyi przed bramą z najeżonymi bagnetami powstrzymywał napór. Gwalberska rzuciła się pomiędzy bagnety, uklękła i wołała rozpaczliwie:

— Syna mi oddajcie!... Puśćcie mnie do niego!...

— Przepuścić staruchę — rozkazał starszy — nieszkodliwa.

Zebrany tłum począł się niecierpliwić, wreszcie jeden z mowców zaproponował wysłanie delegatów do oberpolicmajstra.

Trzech ofiarowało się pójść a inni poczęli uspokajać publiczność, aby czekała cierpliwie. Trzech wybranych przepuścił kordon policyi, weszli w dziedziniec i po schodach jasno oświetlonych poprowadzono ich do sali na pierwszem piętrze. Po krótkiem oczekiwaniu otworzyły się z trzaskiem boczne drzwi i wszedł oberpolicmajster wraz z dwoma urzędnikami do sali.

Na twarzy miał uśmiech łaskawy, starał się być spokojnym, ale z nerwowych drgnień oczu, z gorączkowego ruchu ręki, bawiącej się monoklem, widać było rozdrażnienie i niepewność.

— Czego chcą panowie? — spytał po polsku trzech robotników.

— Ogłoszona konstytucya zapewnia wolność obywatelską, wolność słowa i zgromadzeń, więc więźniowie, aresztowani za udział w zgromadzeniach, w manifestacyach i za posiadanie pism wolnych, powinni być wolni — odpowiedział śmiałym i pewnym głosem jeden z robotników.

— Aresztowanych za tego rodzaju przekroczenia już wypuściłem — rzekł oberpolicmajster uprzejmie.

— Lud żąda uwolnienia wszystkich więźniów politycznych — odezwał się chmurnie drugi robotnik.

— Tych, których policya aresztowała, kazałem uwolnić, bo mam prawo do tego, ale innych nie ja aresztowałem, lecz inne władze, tych nie mogę wypuścić mimo najlepszych chęci.

— My jednak, jako delegaci ludu, prosimy o więźniów — rzekł robotnik — upoważnia nas do tego konstytucya i wola zgromadzonego ludu.

— Być może, że wszyscy polityczni będą uwolnieni, ale dopiero muszę się porozumieć z władzami. Teraz już blisko dziesiąta, za późno, urzędy zamknięte... Zgłoście się panowie jutro, dziś więcej więźniów nie mogę wypuścić.

— Czy to ostatnie słowo? — spytano.

— Tak jest... i starajcie się panowie uspokoić publiczność.

Delegaci zawiadomili zgromadzonych o odpowiedzi oberpolicmajstra. Wielu uznało słuszność naczelnika policyi i zaczęli namawiać do rozejścia się. Tłum począł rzednąć i zmniejszać się. Na mównicach zjawiali się mowcy i poczęli gorąco przemawiać za uwolnieniem cierpiących więźniów. To podnieciło przygasający zapał i jak huk grzmotu rozległy się na placu wołania:

— Więźniów! Więźniów!

Ktoś z tłumu zawołał:

— Nie ruszmy się bez więźniów! — które to słowa przyjęto oklaskami.

Zawrzało w tłumie, padały słowa groźby, przekleństwa, groźne okrzyki... Oberpolicmajster spojrzał z goryczą na kłębiący się tłum. Przyzwyczajony do uległości i posłuszeństwa mieszkańców na samo skinienie, do pokory na sam widok munduru i natychmiastowego rozpraszania się na groźną minę... dziś dożył tej chwili, że motłoch wysyła delegatów, z którymi on musi grzecznie paktować, a przed budynkiem władzy robotnicy manifestują i głośno objawiają swą wolę.

A jeśli tłum rozbroi kordon, wpadnie do ratusza? Nadsłuchiwał. Z placu teatralnego brzmiał groźny pomruk ludu. Telefonował do Czerniejewa:

— Wypuściłem aresztowanych manifestantów. Tłum się odgraża i żąda uwolnienia reszty więźniów.

Zamiast nieobecnego Czerniejewa odpowiedział Gołubiew:

— Czy ma pan rezerwę policyi?

— Pod bronią mam pięćdziesięciu żołnierzy, zabroniłem strzelać.

— Tłum jest wielki?

— Do dziesięciu tysięcy.

— Wezwij pan wojsko.

— Zrobię to na wyraźny rozkaz ekscelencyi...

Po krótkiem milczeniu zatelefonował Gołubiew:

— Z rozkazu ekscelencyi, ze względu na jawny bunt, wezwij pan huzarów i kozaków do rozprószenia tłumu. Uderzyć ostro i skończyć z anarchią.

Oberpolicmajster dla wszelkiej pewności zanotował sobie na piśmie otrzymany rozkaz, godzinę i minutę telefonowania. Spojrzał przez okno na tłum zebrany. W kilku miejscach na podwyższeniu przemawiali mowcy, lecz słuchali ich tylko bliscy sąsiedzi. Główna masa ludzi, znudzona oczekiwaniem, skracała sobie czas konceptami na temat nocowania na Placu, a tylko kilkunastu gorętszych kłóciło się z kordonem policyi, żądając wejścia do ratusza. Ktoś dostrzegł sylwetkę oberpolicmajstra w oknie i zawołał:

— Oberpolicmajster trzyma więźniów, a my jego uwięzimy.

Rozległy się śmiechy.

Podszedł do telefonu i złączywszy się z pogotowiem wojskowem mówił:

— Z rozkazu jego ekscelencyi, proszę o przysłanie huzarów i kozaków celem rozprószenia zbuntowanego tłumu.

Odłożył trąbkę telefoniczną, usiadł na wygodnym fotelu i zapalił papierosa.

Żądanie oberpolicmajstra wydało się komendantowi tak dziwnem w ten pierwszy dzień konstytucyi w obec dozwolonych manifestacyj, że zwrócił się o potwierdzenie rozkazu do kancelaryi generał-gubernatora Czerniejewa. W imieniu nieobecnego odtelefonował Gołubiew:

— W obec anarchii i wyzywającej postawy tłumu zbuntowanego, otoczyć tłum huzarami od Wierzbowej, a kozakami od Bielańskiej i rozprószyć.

Oberpolicmajster nadsłuchiwał, lecz od dołu dochodził tylko gwar głosów. Wstał i spojrzał przez okno. W tej chwili od Wierzbowej zjawili się czwórkami huzary. Publiczność, zobaczywszy wojsko, poczęła bić brawo i wołać?

— Wiwat wojsko! Wiwat lud!

Oficer jadący na przodzie nie odpowiedział ukłonem na powitanie, tylko zakomenderował rozciągnięcie się w linię. W tej chwili od Bielańskiej zjawili się kozacy, dobrze znani publiczności, która gwałtowną falą rzuciła się do ucieczki z Bielańskiej na Plac Teatralny i na Senatorską. Równocześnie z okrzykami kozaków, huzary z obnażonymi pałaszami natarli ławą na publiczność.

Cały plac zawył okrzykiem zgrozy i przerażenia. Wzmagał się ścisk, tłok, parcie. Kto słaby to padał, a rozdzierający krzyk dzieci, kobiet drgał bolesnem obłąkaniem. Nad tą zwałą ludzi migały się w świetle latarń błyszczące pałasze huzarów, świst nahajek kozackich. W kilka minut „oczyszczono“ Plac Teatralny, na którym zostały trupy i ciężko ranni, a publiczność oszołomiona tym nagłym i niespodziewanym napadem ratowała się ucieczką w boczne ulice.

Otwarły się drzwi ratusza i wyjechały wozy strażackie. Kozacy zbierali zabitych. Napełnione trupami wozy z głuchym łoskotem, pod strażą kozacką pojechały do kostnicy, spotkawszy w drodze jadącą na główniejsze place artyleryę polową.

Tak się skończył pierwszy dzień konstytucyi rosyjskiej.

XIII.

Na drugi dzień na ulicach miasta zapanował ruch zwykły. Od czasu do czasu zjawiały się grupy robotników z czerwonymi sztandarami, ale brakło zapału, podniecenia, mowców, i stopniowo manifestanci rozpływali się wśród przechodniów. W ogóle publiczność w obec manifestantów zachowywała się odpornie i z nieufnością. Wczorajsze przemówienia esdeków i bundzistów, wzywające robotników do wyrzeczenia się Polski, głoszące hasło: „Precz z Polską“, obraziły głęboko uczucia narodowe i postawiły mur niechęci i żalu pomiędzy ogółem ludności a garstką partyjną. Jeszcze wczoraj do korowodu robotników z czerwonym sztandarem przyłączyli się ochotnie wszyscy przechodnie, panie przypinały sobie czerwone kokardki mężczyźni czerwone wstążeczki i kwiaty, na znak łączności, dziś znikły te oznaki, natomiast olbrzymia większość ludności zjawiła się z orzełkami białymi, z kokardkami narodowemi, a po wszystkich kościołach śpiewano hymny narodowe. W dzielnicach robotniczych zwołano wiece, omawiano morderstwa na Placu Teatralnym, sprawę pogrzebu ofiar, i wytrwanie w strejku.

Entuzyazm z wymuszenia konstytucyi ustąpił miejsca krytyce i zwątpieniu.

Wszystkie partye socyalistyczne zgodziły się na zwołanie ogólnego wiecu, w celu omówienia dalszego postępowania w obec niezmienionego zachowania się rządu, który jedynie ściągnął z ulic patrole i dozwolił na normalne otwieranie bram i zakładów publicznych. Przed jutrzejszym walnym wiecem, zaprosił Porwa komitetowych na naradę.

O godzinie trzeciej w mieszkaniu Porwy stawili się komitetowi: Bal, Wicher, Igielski, Mrowiecki i Nestberg.

— Co się dzieje z aresztowanymi towarzyszami? — spytał Igielski.

— Przeprowadzono ich wraz z Gwalberskim do fortu Aleksiejewa — odpowiedział Bal — partya zaopatrzyła ich w pieniądze i jedzenie z miasta.

— O co ich oskarżono? — zapytał Nestberg.

— Wszystkich o przechowywanie broni w celach rewolucyjnych — rzekł Porwa — jeśli ich oddadzą pod sąd wojenny, zostaną skazani na śmierć, dotychczas nie wręczono im jednak aktu oskarżenia.

— Przypuszczam — przemówił Mrowiecki, suchy blondyn z twarzą surową — że po konstytucyi przyjdzie amnestya i będą uwolnieni.

— Konstytucya ta — jak mi donoszą z Petersburga nasi delegaci — rzekł Porwa — nie zadowolniła związku związków, gdyż nie daje gwarancyi, że będzie wykonaną. Strejk kolejowy ma trwać w dalszym ciągu, i w obec tego wnoszę, aby strejk u nas trwał dalej, aż do nowych wiadomości.

— Zgadzam się z wami towarzyszu — mówił Nestberg — lecz dzisiaj, gdy rząd faktycznie nie sprzeciwia się wiecom, proponuję zebranie ogólne pepeesowców i jawne ukonstytuowanie się partyi.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Bal:

— Nie posądzicie mnie chyba towarzysze, że obawiam się o moje cenne życie, a tem mniej o pragnienie władzy — uśmiechnął się — a jednak jestem przeciwny wnioskowi towarzysza Nestberga. Czy konstytucya wejdzie w życie, jest kwestyą wątpliwą dla mnie, tem samem rządy biurokratyczne będą trwały i nadal. Na zgromadzenie ogólne może się wkraść szpieg, zanotuje nazwiska i przy sposobności dostaniemy bezpłatne mieszkanie i wikt w cytadeli. Z tego powodu głosuję przeciw ogólnemu wiecowi partyi. Co do nowego, ale nie jawnego ukonstytuowania się komitetu, po utracie trzech towarzyszów, nietylko się nie sprzeciwiam, ale uważam za rzecz potrzebną. Wybory jednak nie powinny się odbyć na ogólnem zgromadzeniu partyi, ale związki zawodowe stawiają kandydatów, a przedstawiciele wszystkich związków partyjnych wybierają wśród kandydatów.

— Mimo opozycyi jestem za jawnem zgromadzeniem — mówił Nestberg — gdyż przez naszą jawność stajemy się partyą polityczną w kraju, z którą rząd i społeczeństwo przy wyborach do Dumy muszą się liczyć. Wychodzimy z ukrycia spiskowców na światło dzienne, możemy rozwinąć szeroką agitacyę, zwalczać publicznie partye wsteczne, jednem słowem zająć przynależne nam miejsce w życiu politycznem.

— Co do mnie — rzekł Porwa — popieram poglądy Bala, z tem uzupełnieniem, aby zwołać wiec liczny w celu wybadania opinii towarzyszów co do stosunku naszego względem esdeków i bundu.

Spojrzano na niego z pewnem zdziwieniem, wreszcie rzekł Mrowiecki:

— Zechcejcie jaśniej się tłómaczyć. Esdecy i bund idą z nami ręka w rękę i stosunek ten aż do osiągnienia celu nie może być naruszony. Więc po co i na co wprowadzać zamęt?

— Towarzysze, wczoraj przy pierwszym dniu swobody i możności głośnego wypowiedzenia się — mówił Porwa — tak bund, co było do przewidzenia, jak i esdecy z uzurpowanym tytułem, Królestwa Polskiego i Litwy, rzucili jawnie swe hasło: „Precz z Polską!“, czyli że stanęli wobec naszej partyi i w obec społeczeństwa jako wrogi. Oszołomieni zwycięstwem, zresztą wątpliwem, popełnili ogromny błąd polityczny, którego nie omieszkają wyzyskać stronnictwa konserwatywne, a w pierwszym rzędzie endecy. Esdecy przez tę nieopatrzną szczerość, stracą, jeśli już nie stracili, sympatyę społeczeństwa, a co gorsze, Polska musi ich zwalczać i dotychczasowe moralne poparcie i opieka, którą otaczała socyalistów, zmieni się na niechęć. My, którzy jesteśmy polską partyą i postawiliśmy niepodległość Polski jako nasz cel, nie możemy zawierać sojuszu na śmierć i życie z esdekami...... i nad tą sprawą trzeba się zastanowić.



Z bramy ratusza wyszła sama jedna Wanda.

— To są przedwczesne obawy — zaśmiał się Wicher — Polska nienawidzi despotyzmu i samemu dyabłu będzie sprzyjała, gdyby on zwalczał despotyzm. Ci i owi burżuje będą sarkali na socyalistów, kler będzie miał wspaniały temat do kazań, endecy wypuszczą rakiety, ale póki socyaliści dążą do zwalczenia despotyzmu, większość społeczeństwa będzie po naszej stronie. A gdy padnie rząd i biurokracya, wówczas będzie czas na jasne określenie naszego stanowiska.

— I ja tego zdania — odezwał się Nestberg — z esdekami mamy wspólne zasady socyalistyczne, a różnice zapatrywań wyrównają się później.

— Zgadzam się z towarzyszem Wichrem — przemówił Mrowiecki.

— A ja z towarzyszami Balem i Porwą — zabrał głos Igielski — nie wiem jak inne związki zawodowe, ale u nas kolejarzy sprawa polska ma pierszeństwo przed wszystkiemi innemi. Mojem zdaniem my musimy nasze stanowisko jasno i wyraźnie zaznaczyć.

— Wobec równowagi głosów — rzekł Porwa — stawiam wniosek poruszenia tej sprawy na wiecu...

— Sprzeciwiam się — zawołał Nestberg — już samo postawienie takiej kwestyi rozluźni nasz związek z esdekami i zaogni sprawę narodowościową. Zawsze było zwyczajem, że komitet i delegaci rozstrzygali takie kwestye w ściślejszem gronie, a czynili to z całym rozmysłem, trudno bowiem każdego członka partyi wtajemniczać w odcienia przekonań partyjnych.

— Wiecie Porwa — odezwał się Bal — może Nestberg ma racyę. Przy dzisiejszem napięciu tak łatwo doprowadzić do podniecenia i czynnych objawów niechęci.

— Ulegam większości — westchnął Porwa — ale mojem zdaniem wahanie i kunktatorstwo zaszkodzi partyi. Musimy jasuo i wyraźnie ogłosić, czy idziemy z esdekami, czy ze społeczeństwem.

— Mamy czas — uśmiechnął się Wicher — a zresztą, czy nie znacie Warszawy? Dziś krzywi się na socyalistów, a jutro będzie ich nosiła na rękach... Dla mnie ważniejszą jest sprawa jutrzejszego wiecu.

— Strejk podtrzymujemy — rzekł Igielski — żądać wydania więźniów i w tym kierunku rozwinąć agitacyę.

— Pogrzeb zabitych na placu — mówił Bal — powinien być manifestacyą.

Rozpoczęły się narady partyjne, które w obec zgodności komitetowych nie trwały długo. Po ukończeniu posiedzenia Bal nie wyszedł i patrząc na zegarek zwrócił się do Porwy:

— Dziś wieczorem o ósmej, czyli za godzinę, jest zebranie w mieszkaniu Logiki i Wandy. Zdaje się, że znajdziemy sposobność rozmówienia się z naszymi esdekami. Czy przyjdziesz?

— Mam wolny wieczór, lecz przedtem chcę iść na miasto.

— Pójdę z tobą... a dokąd?

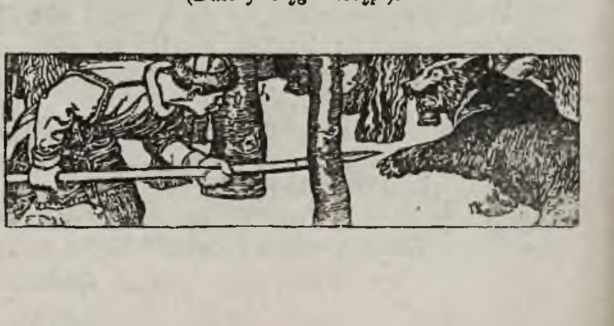
— Wszędzie dziś wiecują, więc najpierw wstąpimy do Filharmonii.

Na placu przed gmachem zastali tłum ludzi. Z trudnością dotarli do sali, obwieszonej sztandarami czerwonymi i napisami: „Precz z despotyzmem!“, „Niech żyje konstytuanta!“ Napisy wyszywane biało na czerwonem tle, w języku polskim, rosyjskim, żydowskim, odbijały jaskrawo w jasno oświetlonej sali, natłoczonej publicznością z różnych sfer, a na mownicy w tej chwili stał wysoki, szczupły, z rozwichrzoną blond brodą mężczyzna, który gestykulując gwałtownie, mówił o wrogach robotnika:

— My nie chcemy tej Polski burżuazyjnej, wyzyskującej, oszukańczej! Co nam po wolności politycznej Polski, gdy i nadal będziemy wyzyskiwani. Wpierw załatwijmy nasze rachunki, a z waszą Polską my nic nie mamy wspólnego i wołamy głośno: „Precz z Polską!“ My idziemy z proletaryuszami rosyjskimi i wspólnemi siłami zwalimy Polskę, zwalimy kapitalizm i utworzymy wielkie państwo socyalistyczne rosyjskie...

— Chyba dosyć — mruknął Bal — i jeśli to jest uświadamianie robotnika, to ja jestem arcyburżuj.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Skon patryarchy serbsko-oryentalnego.

Godności duchowne w kościele wschodnim, zwłaszcza u Słowian południowych, noszą na sobie wybitny charakter polityczny, to też o osobę serbskiego patryarchy, wszelkie partye polityczne toczą ze sobą zawsze zawziętą walkę; stronnictwo bowiem, z jakiego wyjdzie nowy patryarcha, zyskuje przez to na powadze i poparte wielkim wpływem najwyższego rządcy Kościoła, dochodzi w kraju do decydującego stanowiska.

Obecnie zmarły patryarcha Serbów węgierskich, Jerzy Brankowics, nie cieszył się w kraju wielką powagą, a swego stanowiska politycznego nie umiał wyzyskać. Przedewszystkiem hołdował zasadom partyi, już dawno zdyskredytowanej, natomiast



Skon patryarchy serbsko-oryentalnego: Jerzy Brankowics.

odnosił się nadzwyczaj wrogo do swych ziomków, którzy połączyli się z węgierską partyą niezawisłości. Wpływu więc na sprawy kraju nie miał żadnego. Ponadto zarzucano mu, iż w zarządzie kościelnym dopuszczał się nadużyć bardzo poważnych, iż wyzyskiwał dla celów osobistych swoje stanowisko, skutkiem czego utracił popularność. Dalej podnoszono w zarzutach przeciw niemu, iż otacza się ludźmi nie najlepszej opinii, iż godności duchowne powierza swoim zausznikom, wreszcie, że dawał się przekupywać. W zarządzie dóbr kościelnych miał się także okazać niezupełnie czystym i dochody z nich obracać w pewnej części na swoją osobę i na pomnożenie osobistego majątku, który też zebrał nie mały, bo w chwili zgonu posiadał 8 milionów koron. Cały ten majątek zapisał córce, synod jednak chce unieważnić testament, albowiem, wedle przepisów krajowych, połowa majątku patryarchy przechodzi zawsze na własność Kościoła. Oprócz tego w kasie prywatnej patryarchy znaleziono 80 tysięcy koron, a w dzień skonu jakiś nieznany ofiarodawca przesłał mu 86 tysięcy.

Niechęć do zmarłego patryarchy wyraziła się i w pogłoskach, jakie rozeszły się po świecie z powodu jego śmierci, posądzano go mianowicie o samobójstwo, obdukcya zwłok wykazała jednak paraliż serca i ogólne zatrucie z powodu wrzodu, jaki miał od dawna na nodze.

W chwili zgonu liczył patryarcha Brankowics 77 lat, na stolicy zaś arcybiskupiej w Karłowicach, jako serbski patryarcha, zasiadał od roku 1890. Do konsystorza nadeszły liczne depesze kondolencyjne, między innemi od króla serbskiego Piotra, od prezydenta ministrów Wekerlego, ponadto jeneralny adjutant cesarza zawiadomił, iż jako zastępca monarchy wystąpi komendant korpusu z Zagrzebia, generał Gerba. — Fotografia nasza przedstawia patryarchę na krótki czas przed zgonem



Pomnik Leona XIII.: Dzieło rzeźbiarza J. Tadoliniego.

Pomnik Leona XIII.

Przed niedawnym czasem w bazylice laterańskiej w Rzymie nastąpiło z wielką uroczystością odsłonięcie pomnika Leona XIII. Komandor papieski, rzeźbiarz Juliusz Tadolini, dzieło swe, uwieczniające postać zmarłego papieża, oddał Świętemu Kollegium Kardynałów. Jest w zwyczaju w kuryi rzymskiej, że kardynałowie, kreowani przez danego papieża, po jego śmierci wznoszą mu własnym kosztem pomnik. Temu też zwyczajowi zaw-



Fot. A Jaderny w Mielcu.

Nowi strażacy: Członkowie nowo utworzonej ochotnicze straży pożarnej w Grochowem.

dzięczają bazyliki rzymskie przewspaniałe rzeźby, prawdziwe arcydzieła, poświęcone pamięci Ojców św. Pius IX. posiada może najbardziej monumentalny pomnik, bo całą kaplicę w bazylice św. Wawrzyńca, wyłożoną nader drogocenną mozajką.

Następca jego Leon XIII otrzymał obecnie już skromniejszy kamień na swój grób, co zresztą warunkowane jest i zamożnością osobistą kardynałów fundatorów i stanem rzeźby w danych czasach. Pomimo to pomnik ten przedstawia się bardzo okazale. Mieści się w jednej z niszy w absydzie, tworząc odpowiedni pendent do znajdującej się tam postaci Innocentego III. Wysoki jest na 9 metrów, a szeroki na 5 metrów. Wykuty jest cały w marmurze i przedstawia Leona XIII z charakterystycznym gestem, gdy powstając z „sedia gestatoria“ podniesioną rękę wyciąga jakby nad tłumem do błogosławienia. Dwie boczne figury, również z marmuru, wyobrażają jedna — robotnika-pielgrzyma, druga — Kościół płaczący. Na architrawie drzwi, nad któremi widzimy sarkofag, znajduje się napis: „Leoni XIII cardinales ab eo creati“ — „Leonowi XIII kardynałowie przez niego mianowani“; po bokach znajdują się dwa potężne festony z bronzu. Wnętrze niszy wyłożone jest marmurem kalabryjskim.

Pomnik ten z rąk rzeźbiarza przyjmowała specyalna komisya w obecności wielu kardynałów, między innymi Merry del Val, Rampoli, Mathien, Vanutellego i Satollego, z których dwaj ostatni wygłosili mowy, jak również i twórca pomnika, rzeźbiarz Tadolini. W uroczystości tej ponadto brało udział przeszło 200 prałatów i bardzo liczna publiczność.

W ubiegłym miesiącu upłynęły już 4 lata od śmierci Leona XIII i w Watykanie wszystko gotowe jest do przeniesienia zwłok zmarłego papieża do Lateranu, niestety obecny ruch antiklerykalny we Włoszech każe się obawiać podobnych wypadków jakie zaszły przy pogrzebie Piusa IX.

Fotografia nasza przedstawia w całej okazałości grobowiec Leona XIII.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis.
Czyszczenie Krakowa: Wóz ze ślusarni p. K. Kosobuckiego, służący do wywozu zmiotków domowych.

Nowi strażacy.

Zakładanie straży ochotniczych pożarnych po miasteczkach i wsiach galicyjskich jest zadaniem ogromnie doniosłem, a pod względem ekonomicznym prawdziwem dobrodziejstwem dla ludności kraju. Licho przeważnie, a gęsto budowane domy i chaty padają corocznie całemi masami ofiarą niszczącej pożogi, powodując zupełne zubożenie mieszkańców. Idea ubezpieczenia na wypadek ognia, jeszcze nie przyjęła się należycie wśród ludu, a sprawa przymusowej asekuracyi, mimo nieustannego nawoływania ze strony posłów ludowych, nie może się doczekać od rządu przychylnego załatwienia. Pozostaje więc ludności bodaj obrona przed strasznym żywiołem za pośrednictwem należycie zorganizowanych straży pożarnych ochotniczych.

Na tem polu zaznaczyła się bardzo chwalebnie działalność Tow. Kółek rolniczych, oraz krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych. Zjazd członków tej instytucyi, odbyty we Lwowie w lipcu, wykazał ciągły rozwój liczebny i jakościowy straży pożarnych. Mimo to ilość tych straży nie jest jeszcze dostateczną w kraju i cieszyć się należy z każdego nowego posterunku strażackiego założonego w Galicyi.

Jedną z ostatnich do życia powołanych straży pożarnych, jest straż w Grochowem, pow. mieleckiego. Powiat mielecki liczy już około 40 straży ochotniczych, w czem głównie zasługa gorliwego tych spraw orędownika, adwokata dra Nowaczyńskiego, który z poświęceniem nietylko drogiego swego czasu i trudu, ale i własnych funduszów, dąży konsekwentnie do pokrycia całego powiatu siecią straży.

Zdjęcie fotograficzne grupy członków ochotni-



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.
Czyszczenie Krakowa: Wiaderko ze zmiotkami na przyrządzie widnującym.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.
Czyszczenie Krakowa: Windowanie wiaderka w zamkniętym wozie.

czej straży w Grochowem, wraz z delegacyami kilku innych straży pow. mieleckiego zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Czyszczenie Krakowa.

Sprawa czyszczenia miasta Krakowa, sprawa tak doniosła ze względu na zdrowotność publiczną i porządek zewnętrzny, weszła wreszcie na drogę realizacyi, dzięki powołaniu przez radę miasta do



Ukarany miliarder: John Rockefeller skazany na 146 milionów kor. grzywny.

życia miejskiego zakładu, specyalnie do tych celów przeznaczonego. Zakład czyszczenia miasta, pozostający pod kierunkiem dzielnego i energicznego naczelnika straży ogniowej, p. Nowotnego, wziął się raźno do dzieła a jako jeden z pierwszych celów wytknął sobie uregulowanie wywozu popiołu i zmiotków domowych w sposób, odpowiadający wymogom hygieny i czystości.

W tym celu sprowadzono do Krakowa na próbę dwa wozy z fabryk zagranicznych, okazało się jednak, iż nie odpowiadają one w należytej mierze przeznaczeniu, wobec czego okazała się potrzeba obmyślenia nowego, odmiennego systemu. I na chwałę krakowskich przemysłowców i fabrykantów stwierdzić trzeba, że właśnie wóz wybudowany w tutejszej ślusarni p. Kazimierza Kosobuckiego, a na podstawie projektu pp. Kazimierza i Piotra Kosobuckich, okazał się szczególnie do celu wywozu śmieci praktycznym, co wykazały dowodnie próby dotychczas czynione.

Wóz, przeznaczony do wywozu śmieci, zbudowany jest prawie w całości z żelaza. Składa się z dwu części, mianowicie ze zbiornika objętości $2^1/_2$ metr. kub. oraz z przyrządu, za pomocą którego wprowadza się zmiotki do zbiornika. Manipulacya przy tem jest zupełnie prosta i pojedyncza, a główną jej zaletą jest, iż zapobiega wydobywaniu się odpadków i pyłu na zewnątrz. Mianowicie żelazne wiaderka, napełnione popiołem i zmiotkami, wstawia się do otwartego przyrządu w rodzaju windy, który poruszany za pomocą korby podnosi wiaderko w górę i tam je wypróżnia. Wóz podczas całej tej czynności jest dokładnie zamknięty, co wyklucza wydobywanie się pyłu.

Windowanie trwa około 30 sekund, pomieści zaś zbiornik zawartość około 30 takich wiaderek. Wypróżnia się wóz w ten sposób, że korba, umieszczona na koźle wozu, podnosi klapę dolną, hermetycznie się zamykającą, poczem cała zawartość zbiornika wysypuje się na zewnątrz.

Zauważyć jeszcze należy, że wóz, choć ciężki, posuwa się po ulicach bardzo cicho, opatrzony jest bowiem elastycznymi resorami.

W dzisiejszym numerze załączamy trzy zdjęcia, przedstawiające opisany wyżej wóz oraz manipulacyę przy jego używaniu. Na pierwszej rycinie widzimy wóz przed jednym z domów. Dwaj robotnicy zbliżają się doń z napełnionem zmiotkami i szczelnie zamkniętem wiaderkiem. Na rycinie drugiej wiaderko znajduje się już na przyrządzie windującym, a robotnicy zamykają drzwiczki, aby zapobiedz ulatnianiu się pyłu. Trzecia wreszcie rycina przedstawia wóz w czasie windowania wiaderka i wysypywania śmieci do zbiornika wozu.

Ukarany miliarder.

Każda rzecz ma swój koniec, to też i na miliarderów przychodzi kres, amerykańskie bowiem ustawodawstwo stawia już zapory ich brutalnej, bezwzględnej zaborczości. Pierwszy doświadczył tego na sobie król milionerów, arcymilioner John Rockefeller, którego skazano na bajeczną grzywnę 146 milionów koron.

Sprawa ta, o takim smutnym wyroku, miała początek swój bardzo humorystyczny. Rockefellera głównego, akcyonaryusza „Standard Oil Company“, oskarżyła prokuratorya w Chicago o liczne nadużycia, zwłaszcza o samowolne obniżanie taryf kolejowych przy przewozie nafty, należało tedy temu królowi trustów wręczyć pozew sądowy. I tutaj zaczęły się utrapienia sądu i policyi chicagowskiej. Rockefeller nie chciał bynajmniej zawrzeć znajomości z władzami i postanowił unikać przyjęcia sądowego wezwania. Zaczął się tedy pościg, Rockefeller ukrywał się w swych ogromnych dobrach, przenosząc się z jednych do drugich z błyskawiczną szybkością, miał bowiem do swego rozporządzenia samochody, oddzielne pociągi błyskawiczne i własny sztab agentów, który go powiadamiał o akcyi władz przeciw niemu. Policya obstawiła strażą liczne jego pałace i wille, by nie mógł się wymknąć, tutaj jednak spotykała się ze złośliwymi brytanami, które rzucały się na każdego agenta. Nakoniec w Clevelandzie dotarto do jego pałacu, właśnie w chwili, gdy Rockefeller miał wsiadać do gotowego balonu, by z góry tylko przypatrywać się urządzanym na siebie łowom. Nadmienić musimy, iż tak przedsiębiorczy milioner liczy już 70 lat życia, młodzieńcze jednak pomysły widocznie jeszcze go nie opuściły.

Podczas rozprawy wyszły na jaw wszystkie środki, jakimi ten król operował, a zwłaszcza jego bezwzględność w niszczeniu każdego, kto tylko stanął mu na drodze. Rockefeller, dążąc do zagarnięcia wszystkich terenów naftowych na całym świecie, nie zważał na drogi, po jakich kroczył do



Nowy sposób sygnalizacyi: Przyrząd sygnałowy z tubą.

swego celu. W razie potrzeby zakupywał całe miasteczka i burzył wtedy domy dla osiągnięcia terenów naftowych, a gdy pewnego razu, jeden z drobnych właścicieli nie chciał mu ustąpić swej posiadłości, przeciął mu zupełnie komunikacyę i tem zmusił go do sprzedaży. Po zdobyciu prawie wszystkich terenów, począł samowolnie rządzić w przemyśle naftowym, zwłaszcza iż miał do swojego rozporządzenia liczne koleje żelazne, na których sam dla siebie ustanawiał taryfy przewozowe.

Trust naftowy, który stworzył Rockefeller, przedstawia majątek 492 milionów koron, który w przeciągu ostatnich lat przyniósł czystego dochodu 1 miliard 324 milionów zysku. Wobec takich zysków trust z łatwością, bez uszczerbku dla swego przedsiębiorstwa zapłaci milionową grzywnę na siebie nałożoną. Kara też ta ma raczej moralne znaczenie, bo okazuje powszechne oburzenie przeciw wszelkim trustom. Prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt wszczął walkę przeciw trustom, której owocem będą specyalne prawa na ukrócenie potęgi trustowej; pierwszym tego objawem jest obecny wyrok na 146 milionów.



Z więzienia na wolność: B. adwokat dr. Józef Orłowski.

Z więzienia na wolność.

W r. 1905 głośnem echem odbił się w Krakowie proces wiedeńskiego adwokata, dr. Józefa Orłowskiego, oskarżonego o szereg oszustw i szantaży, człowiek ten bowiem przebywał przez czas dłuższy w Krakowie i znany był tu w szerokich sferach. Wysokich zdolności, ogromnie sprytny, był jednak równocześnie Orłowski człowiekiem niesłychanie ambitnym i chciwym sławy a nadto bardzo lekkomyślnym. To wszystko zaprowadziło go na ławę oskarżonych; werdyktem wiedeńskiej ławy uznany winnym zarzuconych mu czynów oszukańczych, został skazany na 3 lata więzienia. Obecnie nadszedł kres jego kary i w tych dniach bramy więzienia Stein otworzą się, by człowieka tego, który przy swych zdolnościach mógł zajść bardzo wysoko, wypuścić na wolność.

Nowy sposób sygnalizacyi.

Nieustanny rozwój komunikacyi kolejowej, ciągłe mnożenie liczby linii i ich rozszerzanie, a równocześnie zwiększanie ilości kursujących na nich pociągów, utrudniają coraz bardziej swobodę ruchów kolei żelaznych i z powodu okropnie zawikłanych kombinacyj w ich krzyżowaniu się, stają się często powodem fatalnych w swych następstwach katastrof. W ten sposób dobrodziejstwo, jakim ten niesłychanie doniosły wynalazek powinien być dla ludzkości, może się stać z czasem jej nieszczęściem.

Celem uniknięcia zderzeń krzyżujących się w pewnych węzłach kolejowych pociągów, istnieją w rozmaitych punktach przestrzeni wszelkiego rodzaju przyrządy sygnałowe. Umysł ludzki zdołał doprowadzić funkcyonowanie ich do nadzwyczajnej doskonałości, a ciągłe na tem polu ulepszenia, zdają się jakiekolwiek wypadki wprost wykluczać. Tak jednak niestety nie jest, a to z tego powodu, iż sygnalizowanie to polegało dotychczas prawie wyłącznie na zjawiskach świetlnych, podpadających pod zmysł wzroku. Otóż system ten ma tę złą stronę, iż w razie niepogody, gdy powietrze jest mgliste, tak iż widok na większą odległość jest niemożliwy, sygnałów tych nie podobna było zauważyć.

Celem zapobieżenia tej niedogodności obmyślono nowy przyrząd, który opiera się na zastosowaniu tuby w rodzaju tych, jakich używają automobiliści, do sygnalizowania, czy linia dana jest wolną, czy też zajętą. I jeżeli maszynista pociągu z powodu mgły nie zauważy sygnału świetlnego, w takim razie odzywa się ostrzegawczy, a bardzo donośny głos tuby, zapowiadający prowadzącemu pociąg, że linia, którą się posuwa, jest zajęta.

* * *

Nowy ten sposób sygnalizacyi zaprowadziły na próbę niektóre zarządy kolejowe we Francyi, a rycina nasza przedstawia jeden z ustawionych na torze sygnałów.

Zjazd monarchów.

Politycy światowi mają od paru dni żer wspaniały dla swych umysłów kombinacyjnych, mają szerokie pole do snucia najbardziej fantastycznych domysłów i pomysłów. Żerem tym jest zjazd cesarza rosyjskiego Mikołaja II z cesarzem niemieckim Wilhelmem II, odbyty właśnie w pięknie, malowniczo położonej miejscowości Swinemünde, w pobliżu starego Szczecina.

Zjazd ten jest istotnie jednym z najdonioślejszych wypadków politycznych z ostatnich czasów, donioślejszym niż poprzednie spotkanie tych samych dwóch monarchów pod Bjoerkoe.

Przyczyną, która tak wybitne polityczne piętno wycisnęła na zjeździe w Swinemünde, jest obecne ukształtowanie się wzajemnych stosunków między mocarstwami europejskiemi. Z inicyatywy mianowicie króla angielskiego Edwarda VII, który w zapasach dyplomatów bierze bardzo czynny udział, doszły do skutku w roku bieżącym różne przymierza: wynikiem ich było zupełne odosobnienie Niemiec, nic więc dziwnego, że Wilhelm II, pomimo buty pruskiej, uczuł się zagrożonym i począł szukać oparcia dla siebie i swej polityki. Znalazł je w państwie rosyjskiem. Okoliczności sprzyjały Prusom; przymierze Rosyi z odwiecznym wrogiem Niemiec, Francyą, w ostatnich czasach rozluźniło się trochę, nie omieszkał też wykorzystać tego Wilhelm i zapukał do Petersburga, gdzie Berlin od przeszło stu lat znajdował zawsze posłuch.

Wynikiem tego był obecny zjazd Wilhelma z cesarzem Mikołajem. Odbył się on nadzwyczaj wspaniale, bo Wilhelm sprowadził ze sobą częśc swej floty, by roztoczyć swą potęgę przed cesarzem rosyjskim i okazać, że Niemcy, choć odosobnione, nie utraciły swej siły.

Jakie kwestye polityczne załatwiali między sobą monarchowie, trudno zbadać, bo sporo czasu spędzili oni na rozmowie sam na sam, tak iż żadne ze słów, które tam padły, nie dobyło się na zewnątrz. Także rozmowy dwu filarów polityki obu państw, Izwolskiego i Bülowa, którzy towarzyszyli swym monarchom, były zupełnie poufne. Jedynie treść toastów oficyalnych doszła do uszu ciekawej prasy i z tych toastów wnosić można, że stosunki między Rosyą a Niemcami są jak najlepsze.

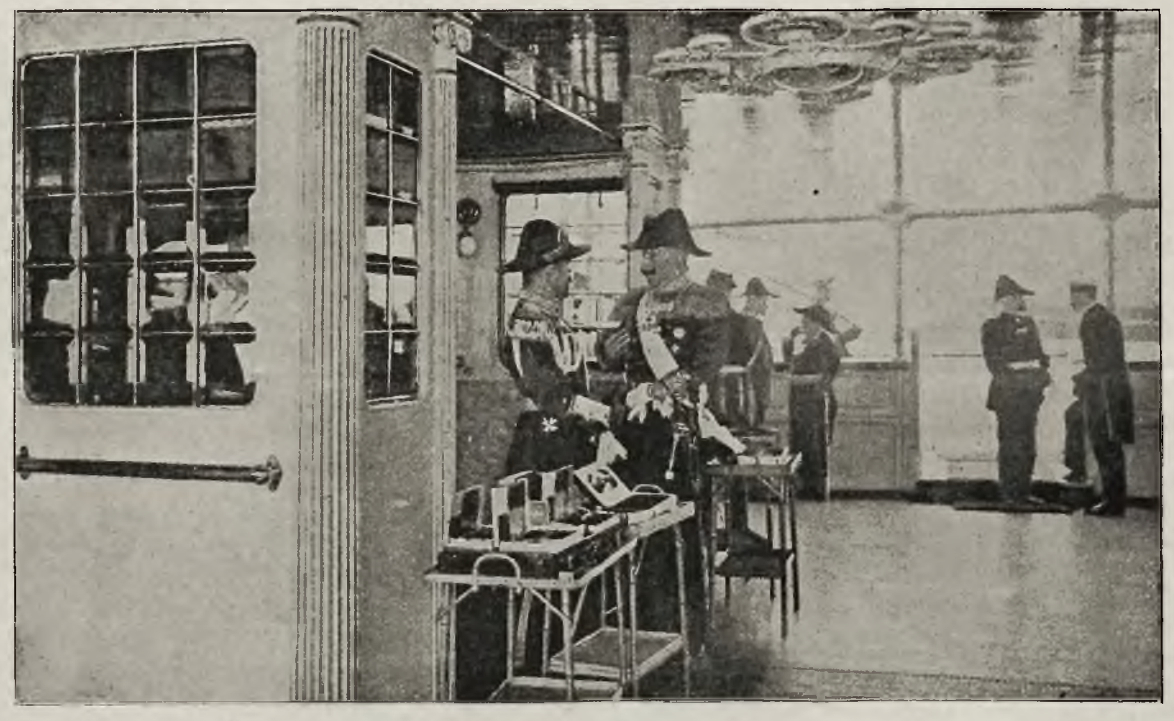
Nie brak też głosów, iż zjazd w Swinemünde ma charakter wyłącznie osobisty, celem odświeżenia węzłów przyjaźni między dwoma monarchami. Mimo jednak tego rodzaju komentarzy, mimo całego szeregu festów, zabaw, przyjęć, a nawet kazań, wygłoszonych przez cesarza Wilhelma, niepodobna uwierzyć, by chodziło tu jedynie o platoniczne objawy przyjaźni i sympatyi.

Przeciw tego rodzaju przypuszczeniu świadczy przedewszystkiem obecność dwu dygnitarzy-polityków, wyżej wspomnianych, a to Izwolskiego i Bülowa. I nie wątpliwie dyskusya, jaką owi dwaj mężowie przeprowadzili w przerwach między śniadaniami a obiadami, większe ma znaczenie, niż jakikolwiek inny fakt z ostatniego zjazdu.

Inna rzecz, że serdeczność — mniejsza a to czy szczera, czy udana — panowała przez całe trzy dni zjazdu i że obie strony przesadzały się formalnie w okazywaniu sobie grzeczności najrozmaitszego rodzaju.

* * *

Zresztą przyszłość okaże, które przypuszczenia są uzasadnione i którzy politycy mają słuszność. My, nie wdając się w ocenę zjazdu, ani w „głębokie“ domysły polityczne, podajemy Czytelnikom naszym kilka rycin, przedstawiających przebieg głośnego tego zjazdu.



Zjazd monarchów: Monarchowie na »Hohenzollernie«.



Zajzd monarchów: Monarchowie rozmawiają po obiedzie przy dźwiękach orkiestry okrętowej.



Zjazd monarchów. Cesarze Mikołaj II i Wilhelm II udają się na motorówce w odwiedziny do floty niemieckiej.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

5 Ciąg dalszy.

— Do dyabła! To zawsze wywołuje podobny skutek — zawołał Rigolo — a teraz, kiedy się już należycie przedstawiłem, pozwoli pan, że dalej mówić będę. Mamy trochę czasu przed sobą; nie nadużyję więc łaskawości pana... Zechciej mi pan zatem odpowiadać, nie zrażając się niedyskretnemi pytaniami, któremi pana obrzucę.

Rigolo wstał, Jerzy również podniósł się z krzesła.

— To, co mi się przytrafiło, mogło dobrze zdarzyć się każdemu innemu, ale że mnie się to zdarzyć mogło! Jednakże nie będę już wracał do tego, tylko postaram się to naprawić, a myślę, że pan mi w tem dopomoże.

— W jaki sposób?

— Oto tak. Przedewszystkiem jedno pytanie: pan się naprawdę nazywa Jerzy Beraldi?

— Zapewne.

— Przybył pan wczoraj do Cabrol?

— Rzeczywiście.

— I przybył pan z Paryża?

— Tak jest.

— Cudownie... to jasne... idę dalej... Cztery dni temu w Paryżu, o północy, wyszedł pan przez ul. Gabryela z parku otaczającego willę hr. Senneterra?...

Młody człowiek brwi zmarszczył.

— Kto panu o tem mówił? — szepnął.

— Oh! to nie było tak trudnem dowiedzieć się o tem. O tej samej godzinie znajdowałem się ukryty za wielkiem drzewem na ul. Gabryela i widziałem pana tak, jak go teraz widzę.

— Przyszedł mnie pan śledzić?

— Przyszedłem tam, bo tego wymagało moje rzemiosło, drogi panie! Pewne okoliczności kazały mi przypuszczać, że w willi Senneterre dzieje się coś niezwykłego i przekonałem się, że się nie mylę. Uwaga moja była rozbudzona; na pana ją też skierowałem i śledziłem pana; odprowadziłem—naturalnie w przyzwoitej odległości—do ul. Faitbout. Pan się nie domyślał niczego i to właśnie podniosło pana w moich oczach... Pan jesteś zakochany i myślałeś tylko o osobie, którą opuściłeś. Gdyby pan był mniej roztargniony, byłbyś dostrzegł rzecz, która mojej uwagi nie uszła.

— Cóż takiego?

— Nietylko ja pana śledziłem.

— Co pan mówi?

— Na przeciwległym chodniku człowiek jakiś szedł i ten, zaręczam panu, nie spuszczał z pana oka..

— Któż to mógł być?

— Gdy pan wszedł do siebie, człowiek ten również chciał wrócić do swojego mieszkania, więc ma się rozumieć pomknąłem cichutko za nim aż do jego mieszkania na ul. Heder.

— A więc pan wie, jak się nazywa?

— Hrabia des Tournelle.

Jerzy stłumił okrzyk wybiegający mu z piersi; Rigolo zaś widząc jego wzruszenie, zadrżał nerwowo...

— Ah! ah! — szepnął — pan go widocznie znać musi.

— Tak, tak!... wybacz pan... mów dalej... To przecież nie wszystko, coś mi miał do powiedzenia...

Rigolo przypatrywał się teraz młodemu człowiekowi przenikliwie; miał się na ostrożności.

— Rzeczywiście, to nie wszystko — rzekł po chwili — słowa służącego hrabiego, których nie mogę panu jeszcze powtórzyć, zaciekawiły mnie niemało. Postanowiłem zbadać rzecz całą. Chciałem wybadać zwyczaje hrabiego i znajomości. Nazajutrz widziałem go idącego na plac Maubert, potem na ul. des Portes, nareszcie wieczorem zniknął mi w willi Senneterre.

Jerzy powstał. Śmiertelna bladość pokryła jego rysy. Pierś podnosiła się nierówno.

— Willa Senneterre — rzekł głucho — pan widziałeś, jak wchodził do willi Senneterre?

— Naturalnie! Ciekawość moja, jak panu mówiłem, była bardzo podniecona. Miałem różne podejrzenia, które pragnąłem rozświetlić. We dwa dni później dowiedziawszy się, że mój ptaszek opuszcza Paryż, postanowiłem dalej go śledzić i przekonać się ostatecznie, czy podejrzenia moje były słuszne. Udałem się więc do Montauban.

— Tak, jak i ja?

— To dziwne, nieprawdaż? Ale co naprawdę wydaje się nieprawdopodobnem — to to, że zaledwie przybywszy do Montauban, podczas gdy pan siadał do karetki, mającej pana zawieść do Cabrol, on udał się do znanego w okolicy pewnego mieszkania, zwanego „Samotnym Domem“.

Jerzy pochwycił rękę ajenta.

— Powiadasz pan, że hrabia był tej nocy w „Samotnym Domu?“ — wyszeptał prawie nieprzytomny. .

— Tak jest — rzekł Rigolo.

Młody człowiek utopił rękę nerwowym ruchem w gęstych zwojach włosów i potrząsnął energicznie głową.

— Mój Boże! — zawołał — ależ to stracić rozum można!... a więc ten szelest, który słyszałem, te słowa...

— Tak, to był on! Znajdowaliście się razem w „Samotnym Domu“ i to mnie w błąd wprowadziło, bo ujrzawszy konia uwiązanego u bramy owego domu, myślałem, że należy do niego i dopiero przed chwilą, spojrzawszy na pana, przekonałem się o omyłce.

— Doprawdy — rzekł gorączkowo — to wszystko jest naprawdę bardzo szczególne! Ale teraz, kiedy pan poznał swoją pomyłkę, powiedz mi pan...

Rigolo miał już coś odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły, a do pokoju wszedł chłopak hotelowy.

— Co tam? — zapytał Jerzy niecierpliwie.

— Przepraszam, że ośmielam się przeszkadzać panu, ale tam na dole jest jakaś kobieta, która pragnie pomówić z p. Jerzym Beraldim.

— Kobieta? Do mnie?

— Co mam odpowiedzieć?

Jerzy nie zdążył odpowiedzieć, gdy do pokoju weszła kobieta w ciężkiej żałobie. Gęsty welon zakrywał jej rysy.

— Błagam pana — rzekła głosem stłumionym — miej litość... muszę z panem mówić... wysłuchaj mnie!

Jerzego owładnęło uczucie silniejsze cd jego woli i ruchem stanowczym odprawił chłopaka. Wtedy nieznajoma podniosła welon. Była to Roma, żona Jakóba Mayot. Jerzy cofnął się w tył przerażony.

— Pani! pani tutaj — wyszeptał drżącym głosem i machinalnie odwrócił się, upatrując po pokoju Rigola.

Ale ten znikł. Kiedy się oddalił? Jerzy nie wiedział. Jednakże nie zastanawiał się dłużej nad tem i żywo podszedł do żony Jakoba Mayot. Roma nie ruszyła się z miejsca. Stała wyprostowana, z twarzą bladą jak kreda, ręce skrzyżowała nagłym ruchem na piersiach w oczekującej postawie.

— Pani u mnie? — powtórzył Jerzy. — Co panią popchnęło do tego kroku i co masz do powiedzenia?

Równocześnie podsunął jej krzesło i ruchem ręki prosił, by spoczęła. Opadła na krzesło bezsilna, jakby pod ciężarem okropnego cierpienia.

— Rozumiem zdziwienie pana—rzekła cicho—zdawałoby się, że po rozmowie z Jakóbem Mayot niczegobyś się już więcej dowiedzieć nie mógł, a jednak...

— Wiadomem więc pani jest, co mnie wczoraj sprowadziło do „Samotnego Domu?“

— Tak jest — odpowiedziała Roma.

— Mój ojciec?

— Byłam świadkiem ścięcia hr. Torella i znane mi są wszystkie okoliczności zbrodni, za którą został skazany.

— Ależ on był niewinny! A czy Jakób Mayot ma w rękach jakie dowody, któreby mogły posłużyć do ujawnienia niewinności hrabiego?

— Jakób Mayot nie wie o niczem.

— Któż więc posiada tę straszną tajemnicę?...

— Ja!

— I pani nic nie powiedziałaś?

— Nie mogłam.

— Jakto? Popełniłaś pani drugą zbrodnię. Pozwoliłaś, by zginął hańbiącą śmiercią człowiek zupełnie niewinny?

— Jest to wyrzut, który mnie dręczy od owej krwawej, okropnej nocy, ale powtarzam panu, nie mogłam inaczej uczynić.

— A więc po co przyszłaś pani tu dzisiaj? Czego chcesz odemnie?

Żona Jakóba Mayot milczała długą chwilę. Oczy bez wyrazu wlepiła uporczywie w podłogę. Jakaś walka głucha toczyła się w jej duszy — po bladej twarzy raz po raz przebiegały skurcze. Widocznem było, że kobieta waha się z odpowiedzią. Jerzy podniecony i pchany gorącą ciekawością, nie spuszczał z niej oka, nie mogąc jednak pojąć, co wywołuje to pomieszanie kobiety.

— Pani milczysz? Nie chcesz nic powiedzieć?—spytał w końcu głosem, w którym się przebijał gniew tłumiony.

— Milczę i wiem, że źle czynię — szepnęła Roma z wysiłkiem. — Przyszłam tu, aby z panem pomówić i mówić muszę. Wysłuchaj więc mnie pan i we własnym interesie więcej, aniżeli w moim, nie odmawiaj mej prośbie.

— O co pani chodzi?

— Chodzi mi o hr. Torella.

— O mojego ojca?

— Wczoraj jeszcze, gdy przybyłeś do Jakóba Mayot, jedynie miłość synowska kazała ci wierzyć w niewinność twojego ojca.

— Żyłem z ojcem długie lata i wiem, że nie mógł popełnić zbrodni, o którą go posądzili.

— Jednakże nie posiadał pan żadnego dowodu?...

— Żadnego.

— A więc co byś uczynił dla kogoś, któryby ci przedstawił realny dowód niewinności hrabiego?

Jerzy powstał blady.

— Ah! — zawołał — osoba ta może żądać mojego majątku... a oddam go jej natychmiast.

— Podobnej ofiary nikt od pana nie zażąda!...

— A więc czego?

— Prawie niczego.

— Przecież...

Zaległo milczenie; po twarzy tej niezwykłej kobiety przemknął uśmiech tajemniczy.

— Pan się wybiera do Paryża? — zapytała drżącym głosem, zbliżając się do Jerzego.

— Tak, za godzinę.

— I zamieszka pan na ul. Faitbout?

— Rzeczywiście. Ale kto pani o tem mówił?

— Mniejsza o to, skoro wiem. Zatrzyma się pan na ul. Faitbout i pierwszą rzeczą, jaką zapragniesz uczynić, będzie rozpoczęcie poszukiwań, które doprowadzą do oczyszczenia nazwiska pańskiego ojca. Przychodzę zatem prosić pana, abyś tego nie czynił. Prośba moja wyda się panu szczególną, ale zmusza mnie do niej — wierzaj mi — interes wyższy, który panu wytłómaczę później.

— A więc panią jeszcze zobaczę?

— Tak, ale do tego czasu, panie Jerzy Beraldi, bądź pan ostrożny, a przedewszystkiem dyskretny. Nie powierzaj nikomu, słyszysz: nikomu! tajemnicy, którą nosisz w sobie i celu, za którym gonisz. Jeżeli mnie pan posłucha, przysięgam, że rok nie ubiegnie, a straszna pomyłka, której ofiarą padł hr. Torella, stanie się jawną.

Jerzy, słysząc te słowa, mimowoli zadrżał. Działo się z nim coś niezwykłego. Napróżno męczył się, by odkryć tajemnicę, która go otaczała i zapytywał się, czy postąpić szlachetnie, czyniąc zadość żądaniu tej kobiety. Podniósł głowę i spojrzał Romie głęboko w oczy.

— Niech i tak będzie — wyrzekł głosem stanowczym i pewnym. — Tylko pozwól mi pani uczynić jedną uwagę.

— Jakąż to?

— Powiedziała pani, co się stać może, gdy pójdę za jej radą, ale zapomniała pani wyjaśnić mi punktu jednego, nie mniej przecież ważnego...

— Co pan chce powiedzieć?

— Przypuśćmy, że odmawiam.

— To nie może być!

— Dlaczego? Nie znam pani, dziś widzę panią po raz pierwszy... Czy byłoby to bardzo niewytłómaczonem, gdybym dziś jeszcze, powróciwszy do Paryża i nie zwracając uwagi na słowa pani...

— Oh! pan tego nie uczynisz! — przerwała żywo żona Jakóba Mayot, a mówiąc to, uchwyciła energicznie ramię młodego człowieka. Oczy jej błysnęły dziko, wargi skrzywiły się w nerwowym skurczu, a przytłumione łkanie wybiegło z piersi.

— Pan tego nie uczynisz — zawołała z siłą—dla siebie, dla mnie! Zaklinam pana: porzuć to postanowienie!

— To jest moim obowiązkiem i wypełnić go muszę!

— Ależ pan nie wie... Nieprzyjaciele pana czuwają.

— Chcesz mnie pani przestraszyć?

— Droga, po której iść zamierzasz, jest pełna niebezpieczeństw... zasadzek!... Bóg sam nie będzie mógł uchronić pana od tego, co pana czeka!...

Jerzy ruszył ramionami.

— Napróżno starasz się pani odwieść mnie od

tego zamiaru — rzekł energicznie — pójdę do końca, co bądź się stanie, drogą raz wytkniętą!

— Czy to ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— To śmierć dla pana!

— Śmierć? niechby — odpowiedział Jerzy — przyjmuję z radością, jeśli tym sposobem będę mógł zwrócić ojcu honor, który mi wydarł jakiś podły morderca!

Przez oczy Romy przebiegały błyskawice. Gwałtownym ruchem spuściła welon na twarz, zmienioną i skierowała się nagle ku drzwiom.

— Niechże się więc stanie to, czego sam pragniesz! — rzekła — odrzucając moją prośbę, gubisz się! — Otworzyła drzwi i wybiegła szybko.

Jerzy pozostał zmieszany, niespokojny, usiłując uspokoić wzburzone myśli. Przez jedną chwilę nawet chciał wołać tej kobiety, która odchodziła z groźbą na ustach i może byłby już próg przestąpił, gdy nagle uczuł, jak ktoś łagodnie dotknął jego ramienia. Odwrócił się — był to Rigolo. Trzymał palec na ustach i uśmiechał się tajemniczo.

— Co pan chciałeś uczynić? — spytał tonem łagodnej wymówki.

— Ależ ta kobieta... —wyszeptał Jerzy.

— Ta kobieta odeszła, a pan dobrze uczyniłeś, nie zatrzymując jej. Uczyni to, co zechce i to nas nic nie obchodzi. Mamy teraz o ważniejszych rzeczach do myślenia. Widzi pan, szczęśliwie się stało, że przed chwilą ukryłem się w tym gabinecie, podczas gdy pani Mayot rozmawiała z panem... Pozwoliło mi to usłyszeć waszą rozmowę i nie oddałbym tej chwili niedyskrecyi ani za 1000 franków!

— Ależ panie...

— Tylko bez gniewu. Jestem przepełniony najszczerszemi uczuciami względem pana. Chcę panu służyć, a zdaje mi się, że nie natrafię już na lepszą sposobność.

— Wytłómacz się pan.

Rigolo się już nie uśmiechał.

— A więc jesteś pan synem hrabiego Torella?

— Skoro pan wiesz...

— Tak, tak... słyszałem wszystko! Rozmowa zresztą była tak zajmująca, a ja miałem osobiste powody, aby nie stracić z niej ani jednego słowa.

— Jakie powody?

— Znałem hrabiego. Tak jest. Było to na początku mojej karyery i wszystko, cokolwiek tyczyło się tej sprawy, utkwiło mi głęboko w pamięci.

— Hrabia był niewinny!

— Byłem o tem zawsze przekonany... Ale dowody były bardzo obciążające, no! i został stracony. Tylko, że w tej sprawie jest jeden punkt, który dotąd nie został rozświetlony.

— Jakiż to?

— Nie pora tu ani miejsce do poruszania tak ważnych rzeczy... ale moglibyśmy jeszcze o tem pomówić. Zdaje mi się, że pan ma zamiar wracać do Paryża. — Otóż o ile wiem, powóz jest zamówiony i jeżeli towarzystwo człowieka takiego, jak ja, nie sprawi panu wiele przykrości, przyjmę z ochotą miejsce, które pan mi ofiaruje. — Wszystko się składa jak najlepiej; teraz zjedz pan śniadanie, a ja przejdę się po okolicy, by zebrać potrzebne mi wiadomości. Gdy powrócę, pan będzie już gotów do drogi — i będziemy mogli odjechać.

— Bardzo dobrze.

— To szczęśliwie! Do widzenia zatem, a powiadam panu, że we dwóch, praca będzie lżejsza!...

W godzinę później Jerzy Beraldi i ajent Rigolo opuszczali oberżę pod „Złotą papugą“, a nazajutrz stanęli w Paryżu.

Brzuchacz i Stalowe serce.

Upłynęło kilka tygodni, które nie przyniosły nic takiego, co mogłoby rozświetlić tajemnicze morderstwo z ul. Monge, jak również tajemnice małego miasteczka Cabrol. Rigolo powrócił do Paryża w towarzystwie Jerzego Beraldi i obaj podróżni, pożegnawszy się na peronie, udali się każdy w swoją stronę. Podczas jazdy musieli zapewne obmyślić plan postępowania energicznego i podczas, gdy Jerzy wskakiwał do dorożki i kazał się wieść na ul. Faitbout, Rigolo w drugiej dorożce spieszył do swojego szefa, Buvard'a. Buvard oczekiwał na niego, a rozmowa tych dwojga ludzi była bardzo ciekawa. Rigolo wyszedł od swojego przełożonego z twarzą jaśniejącą zadowoleniem i udał się prosto do swojego mieszkania. Nazajutrz powrócił do swoich zajęć codziennych. Widziano go przebiegającego ulice Paryża coraz to w innem przebraniu na pozór obojętnego na wszystko, a jednak Rigolo baczną uwagę zwracał na najmniejszą drobnostkę. Raz widziano go kręcącego się w okolicy domu p. Rebard'a. Miał na sobie mundur urzędników z gazowni miejskiej. Było to rano; wszedł do małej restauracyi i kazał sobie podać szklankę wina. Lokal był prawie pusty, chwila była dobrze wybrana. Rigolo wdał się zręcznie w rozmowę z restauratorką. Do tej pory zbrodnia nie była wykrytą, a ciekawi znudzili się już czynieniem rozmaitych przypuszczeń. Dzienniki z początku narobiły wiele hałasu, rozpisując się szeroko na temat tej strasznej, krwawej zbrodni; reporterzy nawet zagalopowali się, obiecując w najbliższym czasie wyjawić publiczności nazwiska morderców. Ale później dzienniki zamilkły i czytelnicy zapytywali się oburzeni, co myśli sobie policya, że tak leniwo bierze się do dzieła.



— Błagam pana — miej litość.... muszę z panem mówić.

Rozmowa z właścicielką garkuchni nie zaciekawiła bardzo Rigola. Zapłacił swoje wino, rzucił parę centimów chłopcu usługującemu i skierował się ku wyjściu. Nagle, gdy już miał drzwi na ulicę otworzyć, gość siedzący przy bocznym stoliku, a na którego nie zwracał dotąd uwagi, zaciekawił go. Był to człowiek o oryginalnym wyglądzie, ciemno ubrany, cokolwiek ułomny, z długimi, rozczochranymi włosami, spadającymi mu aż po oczy. Rigolo, jak niektórzy sławni lekarze, którym jeden rzut oka wystarcza do określenia choroby chorego, posiadał sąd prędki i prawie zawsze pewny. Na widok nieznajomego ciekawość jego nagle pobudzoną została; skinął więc nieznacznie na chłopca, który podrzucał jeszcze na dłoni srebrny pieniądz, otrzymany od niego przed chwilą.

— Słówko, mój przyjacielu — rzekł szybko i cicho Rigolo — czy znasz tego tam, co siedzi przy bocznym stoliku?

— To? — odpowiedział chłopiec z pogardliwą miną — to najmniej sympatyczny gość zakładu.

— Czy dawno tu chodzi?

— Od czterech dni dopiero.

— Czy on jest z tej dzielnicy?

— Tak się zdaje.

— Czem się trudni?

— Tego nie wiem... ale jeżeli pan tego żąda....

— Nie, nie... to niepotrzebne, ja tu jeszcze powrócę i przekonam się, czy to jest ten sam człowiek, o którego mi chodzi.

Rigolo wyszedł. Nazajutrz znowu pilnował z daleka willi Senneterre. Robił to bardzo ostrożnie; przechodził przez ul. św. Honoryusza, a raz tylko posunął się tak daleko, że stanął pod ogrodem od strony ul. Gabryela i ciekawy wzrok zapuścił w okno willi.

Pewnego dnia wieczorem o godz. 11, człowiek jakiś wyszedł z ul. Ecuries d'Artois i skierował się ku Polom Elizejskim. Szedł wolno, paląc fajkę, mrucząc coś pod nosem. Czasem wyraźniej dobiegały słowa; czynił sobie komiczne wyrzuty tonem dobrodusznym i przyjacielskim. Najwidoczniej był pijany, ale utrzymywał, że wypił tylko kilka szklanek w towarzystwie Pitaachard'a, który jest skończonym opojem, on zaś wcale nie był pijany, powietrze go tylko trochę odurzyło... to zwyczajna rzecz... szczególniej gdy się nie jest przyzwyczajonym. A zresztą to zaraz przejdzie, nie dojdzie do placu Zgody, a to wszystko wywieje mu z czupryny. I szedł dalej, zataczając się i zakreślając duże koła, które tylko go oddalały od placu Zgody. Niedaleko willi Senneterre zaczepił nogą o kamyk na ulicy, jakby umyślnie tu położony, aby sobie kark skręcił i tracąc równowagę, potoczył się na ławkę, która stała o parę kroków.

— Do stu szatanów — zaklął ze złością i zamilkł.

Wyciągnął się ciężko na ławce, oparł głowę na ręce i zasnął prawie natychmiast, nie zwracając uwagi na bezludną ulicę i ostry chłód nocy. Miejsce to nie było bardzo bezpieczne i gdyby człowiek ten był mniej pijanym, byłby go się wystrzegał. Pod cieniem gęstych starych drzew o kilka kroków od niego, stało dwóch ludzi, którzy zamienili ze sobą znaczące spojrzenie. Dwóch ludzi o podejrzanym wyglądzie, dwóch nocnych opryszków najgorszego gatunku. Z początku uczuli się niezadowoleni na widok pijanego człowieka. Zapewne znajdowali się tutaj dla dokonania ciemnej misyi, która nie potrzebowała świadków. Lecz w parę minut zobaczywszy, jak człowiek ten potoczył się na ławkę i przekonawszy się, że śpi mocno, zaśmiali się obaj złowrogo.

— On jest porządnie ścięty — rzekł jeden z nich.

Drugi tylko ruszył ramionami. Byli to dwaj nędznicy, z których rekrutuje się armia zbrodniarzy paryskich. Podobno jest takich około 10.000, którzy co rano budzą się, nie wiedząc, gdzie zasną wieczorem.

Jeden z nich nazywał się Brzuchacz i był prawie stałym mieszkańcem Tulonu, drugi był znany pod przezwiskiem „Stalowego serca“ i trudno było dowiedzieć się, skąd pochodził. Po kilku chwilach milczenia Brzuchacz pochylił się do towarzysza.

— Gratka dla nas — szepnął przyciszonym głosem.

— To co — odparł drugi — wyszedł przed chwilą z knajpy, ręczę, że nie ma nawet na tramwaj przy sobie.

— Kto wie! można spróbować choćby dla zabawki.

— A jeżeli tamten nadejdzie tymczasem?

— Phi! Może całkiem nie przyjdzie... Ale patrzno!...

— Co takiego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szalony wyścig.

Złe wróżby, jakiemi powitano projekt wyścigu samochodów z Pekinu do Paryża, nie sprawdziły się. Oto zwycięsca ks. Borghese, po przybyciu na swej „Itali“ jak prawdziwy tryumfator połowy Europy, stanął zdrów i cało w Paryżu wraz ze swymi towarzyszami, a i jego benzynowy rumak przedstawia się wcale niezmęczony, jakby po krótkiej przejażdżce po marmurowych szosach.

Jak pisaliśmy poprzednio, pierwsze uroczyste powitanie księcia-zwycięscy nastąpiło w Moskwie, tak iż zachęcony okazywaną sobie serdecznością, zmienił turę i zamiast skierować się ku Warszawie, ruszył prosto z Moskwy do Petersburga, no i... zawiódł się, bo według własnych jego słów — wcale nie czuje się zadowolonym z tego ominięcia naszego kraju, gdzieby zaznał z pewnością szczerszej radości. Według osobistych zwierzeń księcia Borghese, jedynie w Rosyi europejskiej spotkał się z wrogą postawą ludności po wsiach, bo n. p. pod Niżnym Nowgorodem poczęto obrzucać ich kamieniami i tylko dzięki szybkości jazdy uniknęli kalectwa. Ze Syberyi zaś wrażenia nie są tak przykre, zmiany tylko temperatury dały się we znaki, zwłaszcza na pustyni Gobi, gdzie w dzień upał dochodził do 50 stopni C., w nocy zaś opadał do 4 poniżej zera. Twarze też podróżników są koloru miedzianego, a skóra wprost pofałdowała się od opalenia. Wszyscy okryci są płaszczami skórzanymi, których nie zrzucali zupełnie w czasie podróży.

W powrotnej drodze z Petersburga, w 50-ty dzień swej podróży, zatrzymała się „Itala“ w Kownie, gdzie między innymi witali księcia i polscy dziennikarze, umyślnie przybyli na samochodach z Warszawy. Po uroczystem przyjęciu, wyprawionem z prawdziwym przepychem, nastąpiły osobiste zwierzenia, w których, jako iż w tej rozmowie brali udział Polacy, była mowa i o... kobietach. Niestety, na całej przestrzeni z Pekinu do Kowna podróżnicy nie zaznali ani jednej intrygi, choć o mało co nie ulegli powabom pewnej Tatarki w Ekaterynburgu.

Co do materyalnej strony podróży zauważył książę, iż cała podróż będzie kosztowała do 25.000 franków, z czego za benzynę z Kiachty do Wierzbołowa zapłacono 8.000 fr.; wszystkie koszta ponosi sam, a wcale nie ubiega się o nagrodę paryskiego dziennika „Matin“, który zainicyował ten wyścig.

Po serdecznem pożegnaniu w Kownie, gdzie niejedna polska twarzyczka zarumieniła się skromnie od słyszanych komplementów, popędziła „Itala“, prawdziwie jak na wyścigach, ku Berlinowi, robiąc po 85 kilometrów na godzinę. By nie tracić czasu ks. Borghese nie zatrzymywał się po drodze w żadnem mieście, dopiero w Berlinie spędził jeden dzień. Ludność Berlina witała włoskiego księcia nader owacyjnie. Już od południa hotel „Bristol“, gdzie miał zatrzymać się ks. Borghese, oblężony był przez tłumy ludzi, oczekujących z niecierpliwością pojawienia się „Itali“. Godzina 5-ta już się zbliżała, gdy w dali z pośród tumanów kurzu wyłonił się samochód. Już zbliża się, widać go, rozlega się głośne hoch! szczęknęły klapki aparatów fotograficznych, lecz niestety! — był to tylko samochód niemiecki, który wyjechał na spotkanie „Itali“; po chwili dopiero zajechała przed hotel niepokaźna maszyna ks. Borghese. Przez cały czas pozostawał samochód ten na ulicy, by zaspokoić ciekawość Berlińczyków, podróżnicy zaś nasi, zapewne wbrew chęciom, bo spragnieni byli spoczynku, musieli brać udział w urządzanych na ich cześć owacyach. Między innemi odbył się i korowód samochodów cesarskiego klubu automobilistów, który wypadł nadzwyczaj okazale. W środę podążyła „Itala“ dalej.



Szalony wyścig: Ks. Borghese na swej »Itali« pod Petersburgiem.



Szalony wyścig: Przyjęcie ks. Borghese (X) i dziennikarza Barzinlego (XX) w Berlinie.

Nowy kierownik dramatu w Warszawie.

Pomyślny i dla przyszłości dramatu oraz komedyi w teatrach warszawskich doniosły zwrot nastąpił przed paru dniami. Oto znany publicysta, literat i komedyopisarz p. Kazimierz Zalewski objął kierownictwo tych działów w rządowych teatrach warszawskich. A był na to najwyższy już czas. Skutkiem fatalnej gospodarki dyrekcyi rządowej stosunki na scenie warszawskiej stały się wprost niemożliwe. Repertuar zaniedbano zupełnie, wybór sztuk zależał od przypadku, nieraz od kaprysu reżysera, od notatek dziennikarskich. Rzeczy nowych autorów, mniej znanych, wogóle nie wystawiano, skutkiem czego mnóstwo oryginalnych utworów nie mogło doczekać się gościny na scenie warszawskiej. Repertuar klasyczny, o ile go wznawiano, to czyniono to również bez planu, przygodnie. Następstwem tego była dalej zupełna dezorganizacya i demoralizacya artystów. Podnosiły się często w prasie warszawskiej głosy, zarzucające personalowi dramatu i komedyi — *sit venia verbo* — rozpróżniaczenie się. Istotnie, niektórzy artyści całymi tygodniami nie pojawiali się na scenie, gdyż repertuar układany bez planu nie dawał im pola do pracy. Gwałtownej reformy domaga się także kwe-



Nowy kierownik dramatu w Warszawie: Kazimierz Zalewski.

stya finansowa. Do dezorganizacyi personalu przyczyniało się bowiem niewątpliwie i to, iż dyrekcye zalegały stale z gażami.

Nowego tedy kierownika dramatu czeka praca ciężka, olbrzymia ale też i wdzięczna. Ciężka, bo musi dokonać gruntownej reformy repertuaru, musi zorganizować personal i zaprowadzić wśród niego karność, musi uregulować zaszargane finanse teatrów warszawskich. Ale i wdzięczna, bo jako pierwszy artystyczny kierownik dramatu i jako pierwszy na tem stanowisku Polak, ma możność położyć niespożyte zasługi około rozwoju tej pierwszej sceny polskiej, może ułatwić rozwój młodym talentom literackim.

Osoba nowego kierownika daje rękojmę, że nadzieje, jakie doń społeczeństwo przywiązuje, nie będą płonne. Kazimierz Zalewski, człowiek w sile wieku, od szeregu lat pracuje w zakresie dramatu, jako autor wielu wybornych sztuk i komedyi, oraz jako doskonały znawca tego działu literatury i jego krytyk. Podejmując się ciężkiego zadania reformy scen warszawskich obliczył z pewnością dobrze i skrupulatnie swe siły. Jako kierownik dramatu będzie miał na mocy kontraktu zupełną swobodę w kierowaniu artystycznem teatru. I tego punktu powinien Zalewski stanowczo przestrzegać i nie dopuszczać, by dyrekcya w jakikolwiek sposób mu bruździła. Musi też nowy kierownik swemi zaletami moralnemi, energią i artyzmem zaimponować artystom, którzy wówczas pójdą za nim jako karna drużyna.

Życzymy mu z całego serca, aby stał się istotnie odnowicielem sceny warszawskiej i zwycięscą w walce o sztukę. Zwycięstwo to przyjdzie, gdy wielką znajomość teatru i zdolność rozwojowego pojmowania piękna, związe z prawdziwą miłością sztuki i wielkim hartem moralnym.

Z TYGODNIA

A jednak nie całkiem los się od nas odwrócił. Lubo Warszawa doznała zawodu, nie mogąc ujrzeć na własne oczy ks. Borghese, to przecież dwu Warszawiakom danem było nietylko go widzieć, ale z nim rozmawiać, jeść z nim kolacyę i odprowadzić go z Kowna do Maryampola. Nie potrzeba dowodzić, że to zetknięcie się warszawskich automobilistów ze zwycięscą Pekinu-Paryża jest ze wszech miar dla nas zaszczytnem i że najdrobniejszy szczegół tego zetknięcia się, powinien być znany naszemu społeczeństwu. Dzięki „Kuryerowi Warszawskiemu“ nie brak nam dokładnych relacyj, posłuchajcie więc, co opowiada sprawozdawca „Kuryera“, p. Z. Bartkiewicz. Opuszczam wstęp, bo idzie mi tylko o chwilę historyczną.

„Ks. Borghese — pisze sprawozdawca w obszernym fejletonie — spostrzega nas opodal i z uśmiechem wysiada i wita się z nami. Twarz wyniosła, surowa, ani śladu zarostu, coś z Indyanina, coś z księdza proboszcza (zapewne i z aktora, *przyp. kronikarza)*“. Następnie korespondent wspomina o urzędowem powitaniu księcia przez gubernatora kowieńskiego, o tem, że tłum „z tego powodu zamarł w podziwie“, że ks. Borghese miał słodkie słówka dla dam „szczerzących porcelanowe zęby“, że wreszcie zaproszony przez gubernatora na kolacyę, udał się do hotelu przebrać i umyć, przy których to czynnościach obaj Warszawiacy mu towarzyszyli. Tu następuje główny, historyczny ustęp.

— To panowie 400 wiorst przejechali z Warszawy? — zapytał książę.

— Tak... około 400-stu.

— Ależ to ja z wami zostanę, bardzo będzie to miłe — i bilet wysłał do gubernatora z ekskuzą, że bardzo zmęczony.

„Do 11-stej kolacya. Ożywiona, barwna rozmowa: automobile, lasy syberyjskie, marki fabryczne, tajga, skaliste pustynie, w końcu kobiety.

— Bardzo radbym — rzekł książę — zobaczyć Polki; słyszałem, że piękne...

— Bywają — ze szczerem przekonaniem odpowiada p. Trylski i na tem tle wdzięcznem snuje się dalej rozmowa.

— Miałem sposobność — zwierza się książę — zgrzeszyć raz w drodze, ale obawiałem się, że spóźnię się w naszym wyścigu o miesiąc.

— Czy taka piękna była... sposobność?

Westchnął Borghese:

— *Zut!... Delicieuse!..*“

Na tem koniec historycznej rozmowy. O „zmroku świtania“ odprowadzili obaj Warszawiacy księcia do Maryampola. Oni jechali osobno, on osobno. W Maryampolu książę wyrzekł „życzliwie“: *Adieu! Au revoir!*

Nie pominąłem żadnego szczegółu i sądzę, że Czytelnicy będą mi wdzięczni. Bo inaczej możeby nie wiedzieli, że reprezentanci Warszawy prowadzili z księciem „kawalerską“ rozmowę, że ten bohater omal raz w podróży nie uległ... popędowi serca; nie wiedzieliby, że dla reprezentantów naszego narodu porzucił książę kolacyę u gubernatora (szlachetny!), że się przy nich mył i przebierał (serdeczny!), że słyszał coś o piękności Polek (uczony!).

Jeżeli Warszawa szczęśliwa, że dla niej Borghese całkiem nie przepadł, to Lwów miał niemiłą pigułkę do przełknięcia. Przyszło komuś na myśl, aby zbiory rapperswylskie przenieść do Lwowa. Sprawa ta była przedmiotem obrad Rady miejskiej, która wyraziła wielką ochotę posiadania tych zbiorów i upoważniła pp. Bojkę i Lewakowskiego, członków Rady nadzorczej Muzeum Rapperswylskiego, aby rzecz tę na zjeździe dorocznym Rady nadzorczej przedstawili. Ale Rada nadzorcza pozostała głuchą na propozycyę i odrzuciła ją wszystkiemi głosami przeciw dwom. Lubo nie ogłoszono dotychczas, jakiemi motywami kierowali się urzędowi opiekunowie Rapperswylu, nie trudno jednak domyśleć się, o co im głównie chodziło.

Że Lwów uszanowałby zbiory rapperswylskie, że stałyby się one dostępniejsze dla naszych badaczy, to nie ulega wątpliwości. Ale po pierwsze: nie źle jest, jeżeli poza granicami kraju posiadamy instytucyę, która obcym przypomina nas i nasze ideały. Zwiedzają ją Francuzi, Niemcy, Anglicy — zawsze więc czegoś o nas się dowiedzą, zawsze (przypuszczać można) Muzeum budzi dla nas wśród obcych pewną sympatyę. Ale choćbyśmy lekceważyli znaczenie Rapperswylu jako placówki narodowej i naukowej za granicą, choćbyśmy do *minimum* obniżyli jej charakter reprezentujący i, że tak powiem, idealno-agitacyjny, to jest jeszcze drugi, stokroć ważniejszy powod, aby zbiory rapperswylskie pozostawić na ziemi szwajcarskiej. Są one tam, mówiąc krótko, najbezpieczniejsze. Jeżeli magnaci całej prawie Europy (a między nimi i nasi) znaczną część swych majątków „na wszelki wypadek“ lokują w bankach angielskich, to dobrze jest, jeżeli i my część swych „skarbów“ umieściliśmy tam, gdzie im nic nie grozi. Przebyliśmy zbyt wiele ciężkich doświadczeń, abyśmy mogli z ręką na sercu twierdzić, że nasze zbiory krajowe, prywatne czy publiczne, są pewne, nienaruszalne. Ze skarbów, jakie nam zabrano, moglibyśmy utworzyć kilka wspaniałych muzeów i bibliotek. Zapewne, że w Galicyi większa na razie jest pewność, niż w innych naszych prowincyach, ale polityka, to pani zdradliwa — niespodzianki więc nie są wykluczone. Nie mamy, niestety, ani kawałka takiej ziemi, na której bylibyśmy „panami u siebie“. Co więcej, ziemia nasza zawsze jest przypuszczalnem polem przyszłej walki obcych potęg. A Lwów w dodatku ma jeszcze swe specyalne niebezpieczeństwo. Czy to tak dawno hajdamaczyzna poniszczyła portrety rektorów?

Podobno Kraków miał, czy ma zamiar stanąć do „szlachetnego współzawodnictwa“ ze Lwowem — sądzę jednak, że Rada nadzorcza w Rapperswylu nie zmieni dla Krakowa tak łatwo swoich zapatrywań. Co się zaś tyczy mniemanego współzawodnictwa, to ze strony Krakowa byłoby ono dziwnem. Kraków ma tyle wspaniałych zbiorów, że może już nie wyciągać rąk po nowe. Dosyć będzie z niego, jeżeli podoła już tym ciężarom, które włożył na siebie. Niech się z tego zadania dobrze wywiąże, a i to już będzie niemała sztuka. Bo nie zapominajmy, że wszelkie zbiory potrzebują kosztownego utrzymania. Coby zrobił chudopachołek, gdyby mu ofiarowano na przykład na własność muzeum Czartoryskich z obowiązkiem utrzymania go i powiększania, bez prawa pozbycia się z nich czegokolwiek? Są podarunki kosztowne dla obdarowanego. Nie zapisała Augustowa Potocka Wilanowa swym najbliższym, ale Branickim, bo ci byli w stanie przyjąć ten podarunek. A Kraków nie magnat, nie ma nawet jednej wioszczyny... Tylko podatkami ratuje swą sytuacyę, a podatki to rzecz obosieczna.

Ba! gdyby to Kraków był na przykład Ameryką Północną! W Stanach Zjednoczonych rok „rządowy“ zaczyna się nie 1 stycznia, jak w Europie, lecz 1 lipca — stąd też na 1 lipca są gotowe wszelkie rządowe sprawozdania, które każdy może pocztą otrzymać, jeżeli ich tylko zażąda. Oto leży przedemną streszczenie sprawozdania finansowego Stanów za czas od 1 lipca 1906 do 1 lipca 1907. Rzuciwszy na nie okiem, powziąłem szczere współczucie dla nieszczęśliwych Amerykan Północy. Biedny rząd waszyngtoński znajduje się w położeniu bardzo trudnem, bardzo przykrem: oto nie wie, co zrobić z pieniądzmi. W roku ubiegłym nadwyżka jego dochodów wynosiła 87,000.000 dolarów, a w roku bieżącym przeniesie prawdopodobnie 100,000.000 dol. Leży więc przed nimi niebezpieczeństwo nagromadzenia kapitału w kasach republiki, kapitałów leżących bez procentu i bez pożytku. Wobec tego naturalnie należałoby przedewszystkiem pomyśleć o zmniejszeniu dochodów. Ale to nie tak łatwo, jak się zdaje. Rzecz w tem, że Północna Ameryka ma dwa główne źródła dochodów, które się obciąć nie dają. Pierwsze, to cła na towary zagraniczne — przeciw ich zmniejszeniom powstałby cały przemysł, powstaliby wszyscy robotnicy. Drugiem najważniejszem źródłem dochodów jest akcyza od gorących napojów, cygar i tytoniu. Obniżyć jej opłatę, to znaczy zwiększyć pijaństwo i namiętność palaczy — ba: to znaczy... powiększyć dochody.

Przychodzi mi na myśl drugi sposób: nie można zmiejszyć dochodów, to należy zwiększyć wydatki. Ale i tu kłopot, co uczynić? Myślano o zwiększeniu pensyi urzędnikom, ale przeciw temu powstała silna opozycya, gdyż pensye te są już i tak nieco wygórowane. Jednem słowem: i tak źle i tak nie dobrze. Nie udała się nawet wojna z Japonią, któraby trochę kasy Stanów oczyściła.

Gdyby amerykańscy kierownicy finansów uczyli się w Austryi, z pewnością nie potrzebowaliby łamać sobie głowy takiemi pytaniami i byłoby im bardzo łatwo pozbawić się tych przeklętych nadwyżek. Ale yankesi to naród zarozumiały — uważający się za więcej inteligentnych i rozumnych, niż inne narody. I dlatego Pan Bóg ukarał ich za zarozumiałość!

O nowym rodzaju kary dowiedzieliśmy się wskutek zaburzeń w Marokku. Oto agitatorom, którzy namawiają lud do buntu przeciw sułtanowi, nacierają wargi ostrym pieprzem. Czyby tego środka (jeżeli jest skuteczny) nie było warto użyć względem naszych politycznych agitatorów? Niechby i oni mieli raz tak gorzko, jak gorzkiem jest przez nich naszo życie publiczne.

Kącik humorystyczny.

Tajemnica.

Pani A. spotyka swą przyjaciółkę, panią B., znaną plotkarkę, i w wielkiej tajemnicy opowiada jej arcyzajmującą historyę o córce sąsiadki, zaklinając równocześnie, by tego nikomu nie powtórzyła.

Na drugi dzień spotykają się obie przyjaciółki znowu i pani A. rozpoczyna rozmowę pytaniem:

— No i co ludzie mówią „do tego“?

Różnica.

Józiu: Mamo, prawda, że defraudant to jest to samo co złodziej?

Mama: Ej nie! Defraudant — widzisz — to coś lepszego.



Riviera pod Wilnem.

Dzięki sympatycznej fantazyi Władysława hr. Tyszkiewicza, b. posła warszawskiego do I. Dumy, człowieka bardzo popularnego w Królestwie i na Litwie, mieszkańcy Wilna mają tuż pod murami swego miasta ogromnie miłe, urocze wprost miejsce, gdzie mogą spędzać dnie całe, rozkoszując się doskonałem, czystem powietrzem, malowniczym widokiem okolicy i mnóstwem najrozmaitszego rodzaju rozrywek.

Miejscem tem jest Landwarów, siedziba hr. Tyszkiewicza i jego małżonki z ks. Lubomirskich.



Riviera pod Wilnem: Władysław hr. Tyszkiewicz.

Majętność ta otoczona jest wokoło pagórkami lesistymi, które wraz ze wspaniałem jeziorem tworzą przecudny krajobraz. Wrażenie potęguje prześlicznie położony, stylowy pałac właściciela Landwarowa. Wynurzająca się z pośród głębokiej zieleni wieżyczka, wskazuje zdala siedzibę hr. Tyszkiewicza.

Położona obok Wilna, w odległości około 17 wiorst, t. j. 30 minut jazdy, była zawsze ulubionym celem wycieczek wileńskich obywateli.

W uroczej tej, prześlicznej miejscowości, założył hr. Władysław Tyszkiewicz kawiarnię podmiejską i nazwał ją „Café-Riviera“. Tytuł „kawiarnia“ — jest właściwie na określenie całego przedsiębiorstwa landwarowskiego nie wystarczającym i nie daje należytego pojęcia o wszystkich jego działach. Przedsiębiorstwo to bowiem urządzonem zostało z ogromnym komfortem, według wzoru zagranicznych uzdrowisk.

„Café-Riviera“ wznosi się prawie nad samym brzegiem jeziora, roztaczającem przed oczyma gości landwarowskich ciemne, błękitne swe fale, a tonącem niemal w morzu zieleni nadbrzeżnych drzew, krzewów i kwiatów. Na środku jeziora rozsiadły się dwie małe wysepki, z których jedną zajął bocian ze swem prymitywnem gniazdem. Bocianie gniazdo jest celem wycieczek na łódkach, których sporo czeka na amatorów. Na właściwą „Café-Riviera“ składa się cały kompleks budynków. Są tam więc trzy pawilony, zgrabnie, lekko zbudowane i z bardzo kosztownem urządzeniem. W pawilonie środkowym mieści się kawiarnia oraz restauracya, w jednym z bocznych gra włoska trupa koncertowa, złożona z czteru mężczyzn i czteru kobiet, w drugim zaś stoją stoliki dla gości, którzy nie zmieszczą się w głównym pawilonie; wieczorami w soboty i niedziele urządza się tam tańce dla ludu.



Riviera pod Wilnem: Pawilon mieszczący kawiarnię i restauracyę.

Są nadto w pobliżu budynki maneżowe. W jednym z nich urządzono scenę. Grywa tam doskonała trupa artystów poznańskich, pod kierunkiem p. Kupieckiego. Po przedstawieniach teatralnych odbywają się na tej samej scenie walki zapaśnicze. Występują w nich obecnie pierwszorzędni atleci. Sport kolarski ma w Landwarowie również piękny przytułek, a na wybornej szosie odbywają się interesujące wyścigi.

„Café-Riviera“ otwartą została w połowie lipca, istnieje tedy zaledwie miesiąc, mimo to w Wilnie i okolicy zdobyła sobie już ogromną popularność. W dni pogodne, a zwłaszcza świąteczne, rojno tam i gwarno, bo gromadzą się formalne tłumy, żądne miłej rozrywki i spragnione świeżego powietrza. Ułatwia im to dogodna i tania komunikacya.

Na rok przyszły projektuje energiczny i przedsiębiorczy właściciel Landwarowa założenie tam sanatoryum, coby jeszcze bardziej ożywiło ruch obcych. Już teraz można tam spędzić dłuższy czas, gdyż są do wynajęcia umeblowane pokoje za bajecznie niską opłatą.

Wilno wdzięczne jest szczerze hr. Tyszkiewiczowi za urządzenie tej uroczej miejscowości. Poświęcając jej w dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“ niniejszą wzmiankę, zamieszamy równocześnie portret Wł. hr. Tyszkiewicza i kilka zdjęć z Landwarowa.

Karolina Kliszewska.

Niewiele, bardzo niewiele artystek poszczycić się może tak szczerą, tak serdeczną i powszechną sympatyą, jak pani Karolina Kliszewska. Ale bo też zasługuje ona na nie ze wszech miar. Zawsze miła i ujmująca, obdarzona dźwięcznym, pełnym głosem, ogromnie muzykalna, a przytem nadzwyczaj wesoła, pełna wytwornego humoru, prawdziwy „komik w spódnicy“, jest „Klisia“ — bo tak ją ogólnie nazywają — od wielu lat podporą i ozdobą operetki lwowskiej.

Operetkę tę wogóle trudno sobie bez niej wy-



Riviera pod Wilnem: Grono uczestników, którzy brali udział w wyścigach w Landwarowie.

obrazić. Już samem pojawieniem się na scenie wnosi ze sobą szczery, naturalny humor, który udziela się i partnerom i widzom. To też trudno zrozumieć, dlaczego w ostatnich czasach ta utalentowana niezwykle artystka tak rzadko występowała, ku szczeremu żalowi licznych swych przyjaciół i zwolenników. Radziby oni ciągle patrzeć na jej uroczą, pełną wdzięku i lekkości postać i słuchać jej śpiewu nad wyraz miłego. A już najbarpełnym zawodzie artystka z równą starannością. Popisowych ról skutkiem tego ma tyle, ile ich wogóle wykonała.

Największe powodzenie towarzyszyło p. Kliszewskiej w roli tytułowej w operetce Audrana „Lalka“. W odtwarzaniu jej rozwinęła ona tyle pomysłowości zupełnie samodzielnej, tyle talentu i inteligencyi, iż lepszej interpretatorki dla tej groteskowej postaci nie podobna sobie wyobrazić.



Riviera pod Wilnem: Ogólny widok Landwarowa. W głębi na prawo pałac br. Tyszkiewiczów.

dziej jednają tej idealnej — jedynej dziś polskiej subretce, oklaski i brawa, jej bajeczne kuplety, zawsze pełne smaku i miary prawdziwie artystycznej i zawsze ogromnie zgrabnie podane.

Repertuar p. Kliszewskiej jest ogromny. W ciągu wieloletniej gorliwej pracy scenicznej śpiewała we wszystkich niemal operetkach, które podówczas wystawiano. Są tam role rozmaite, mniejsze i większe, sympatyczne i mniej sympatyczne, wszystkie jednak traktowała rozmiłowana w swym cierni

Kochają p. Kliszewską zarówno we Lwowie, jak w Krakowie lub w Warszawie i wogóle wszędzie, gdzie tylko występowała. Pod tym względem konkurować z nią może chyba pani Kasprowiczowa.

Słyszeliśmy, że w jesieni będzie p. Kliszewska kreować na scenie lwowskiej rolę tytułową w „Wesołej wdówce“. Byłby to pomysł istotnie nadzwyczajny i zapewniłby melodyjnej operetce Lehara nową seryę przedstawień przy wysprzedanej widowni. P. Kliszewska stworzyłaby tu bowiem z pewnością postać oryginalną, niekopiowaną i okrasiłaby ją swym niezwykłym wdziękiem i czarem...



Karolina Kliszewska.

Wanda Hendrichówna.

Do tych artystek lwowskiego ansamblu operowego, które w ciągu jednorocznej zaledwie pracy na scenie ogromne i widoczne zrobiły postępy, przed któremi też prawdziwie piękna otwiera się karyera, należy i p. Wanda Hendrichówna. Młodziutka ta śpiewaczka, o ujmującej, pełnej wdzięku powierzchowności, obdarzona jest prześlicznym i ogromnie dźwięcznym głosem sopranowym, który we wszystkich regestrach swej skali brzmi równo, doniośle i żywo przypomina srebrzysty głos dzwonka W aryach o lirycznym podkładzie uderza słuchacza rzewność szczera i serdeczna i tak do duszy przemawiająca, iżby się jej słuchało bez końca....

P. Hendrichówna kształciła się w lwowskiem konserwatoryum pod kierunkiem znakomitego i wytrawnego profesora Wysockiego. Dzięki temu dykcya i deklamacya jej jest wyrazista, a głos doskonale ustawiony. Zalety te, obok wybitnej muzykalności, zapewniły sympatycznej śpiewaczce powodzenie we wszyst-



Riviera pod Wilnem: Budynek, gdzie odbywają się przedstawienia teatralne.

kich partyach, które dotychczas we Lwowie i Krakowie śpiewała.

Głos p. Hendrichównej jest przedewszystkiem liryczny i partye z tego zakresu najpiękniej w jej interpretacyi wychodzą. Ale nie brak mu i siły dramatycznej, czego dowodem była duża partya Dziwy w „Starej Baśni“. Rolę tę może utalentowana artystka zaliczyć do swych popisowych. Pełna wdzięku i dziewiczej niewinności w ustępach lirycznych, poważna, nawet groźna w scenie porwania przez Domana, lub w chwili wróżby, gdy przepowiada krwiożerczemu Popielowi straszną śmierć, wokalnie stanęła p. Hendrichówna bardzo wysoko w tej partyi a pod względem gry scenicznej była także bez zarzutu.

Ci, którzy słyszeli p. Hendrichównę przed rokiem, gdy rozpoczynała pracę na scenie, lub dawniej na paru koncertach we Lwowie, mieli w obecnym sezonie doskonałą sposobność stwierdzenia ogromnych, zadziwiających postępów, jakie artystka ta w ciągu krótkiego stosunkowo czasu zrobiła.



Wanda Hendrichówna.

Zygmunt Mossoczy.

Dyrektor Heller ma tę niezaprzeczoną zasługę około rozwoju teatru polskiego, iż położył podwaliny pod stałą polską operę, składając ansambl sił wyłącznie rodzimych. Jeśli zadanie to udało mu się przeprowadzić, to w pierwszej linii dzięki okoliczności, iż znalazł wśród licznych u nas zawsze i wszędzie adeptów sztuki siły pierwszorzędne, jednostki obdarzone głosem nieprzeciętnej wartości, indywidualności artystyczne tak wybitne, jak występujące dziś w teatrze lwowskim artyst ki — jak dalej Malawski, Ludwig, Mossoczy.

Ostatni z wymienionych tu artystów zasługuje na szczególną uwagę. Człowiek młody, ale wysoko utalentowany, władający głosem basowym fenomenalnie pięknym, o dźwięku spiżu i imponującej sile, głosem wyszkolonym pod kierunkiem profesora Wysockiego we Lwowie a potem studyami we Włoszech, jest artystą niepospolitym, jest śpiewakiem jednym z pierwszych w Polsce. Już jako student politechniki lwowskiej — dziś p. Mossoczy jest dyplomowanym inżynierem — zwrócił kilku występami na estradzie koncertowej uwagę na swój wspaniały materyał głosowy. Studya kilkuletnie a następnie praca na scenie rozwinęły przyrodzone warunki młodego artysty do miary niezwykłej i zapewniają mu piękną przyszłość.

P. Mossoczy kreował cały szereg partyj operowych, to też repertuar jego jest ogromny. I trudno określić, które role w interpretacyi tego artysty wypadły najlepiej. To pewna, że żadnej nie popsuł, a we wszystkich podobał się bardzo. Ma bowiem na swe usługi oprócz przecudnego głosu także wyborne warunki zewnętrzne i muzykalność wybitną. Wszystko to przy gorącym zapale i przywiązaniu do sztuki, przy wielkiej, wzorowej pracowitości, zapewnia mu stałe powodzenie i oklaski. Poważny, spokojny, jako arcykapłan-Wizun w „Starej Baśni“ lub jako kardynał w „Żydówce“, chytry i demoniczny jako Mefisto w „Fauście“, pełen szczerego i naturalnego komizmu jako Basilio w „Cyruliku Sewilskim“, zawsze jest doskonały i w każdej roli okzauje nowe, interesujące szczegóły swego talentu.

Oby tacy śpiewacy na kamieniu się nam rodzili!



Zygmunt Mossoczy

Z lwowskiego bruku.

(Powrót operetki i nasza uciecha. — Brak nowin. — Stare nowiny. — Ucieczka z Brygidek. — Zbrodnie seksualne i ich rozgłos. — Posiedzenie Rady w restauracyi. — Przebicie żołnierza w rozmaitem oświetleniu. — Romans psów na Kamiennej i zazdrosna żona.)

W tym tygodniu wraca do Lwowa operetka, który to powrót jest ze strony dyrektora Hellera aktem prawdziwej litości wobec wynudzonych kanikułą, przez koty wściekłe pokąsanych, a przez administracyę skarbową kompletnie ograbionych mieszkańców stolicy. Ponadto przyjeżdża cyrk, który od miesiąca namyśla się, czy ma zjechać do Lwowa, czy nie zjechać i wreszcie zdecydował się próbować u nas szczęścia. Może być pewnym powodzenia.

Nowin nie mamy zresztą żadnych. Jak w każdym tygodniu, tak i w ubiegłym, mieliśmy kilka katastrof kolejowych, uciekło kilku więźniów z kryminału, zdefraudowano pewną sumę, tym razem w hotelu Imperial, popełniono kilka samobójstw, ale że to wszystko powtarza się u nas co tydzień, więc i pisać nie ma o czem. Nowością było tylko, że więźniowie uciekli przez mieszkanie samego zarządcy więzienia, co świadczy o ich nadzwyczajnej pomysłowości, odwadze i pewności siebie. Jeszcze tylko brakowało, żeby spytali samego zarządcy, którędy najlepiej uciekać, czego jednak uczynić nie mogli, bo zarządcy nie było we Lwowie. Dwóch uciekinierów złapano. Sami dali się złapać, bo wydostawszy się na wolność, przekonali się, co to za brzydka kanikuła panuje na wolności i woląc wrócić do kryminału, gdzie jest o wiele przyjemniej, włóczyli się apatycznie koło Brygidek, wobec czego nie pozostawało nic innego, jak tylko złapać ich i zamknąć. Inni dwaj wyjechali na lato i jest nadzieja, że po odpoczynku powrócą do codziennych zajęć w Brygidkach. Takie przynajmniej panuje przekonanie w sferach kryminalno-sądowo-policyjno-reportersko-dziennikarskich.

Nie jest u nas także nowością, że wydarzają się coraz częściej we Lwowie i na prowincyi rozmaite przestępstwa na tle seksualnem.

Jest to tylko dalszym dowodem, że starzy ludzie nie zapominają o młodych i że kwitnie u nas miłość bliźniego, wydając piękne owoce. W sezonie ogórkowym, takie drobne, nic nie znaczące kiedyindziej wypadki, stanowią prawdziwy żer dla łaknących sensacyj reporterów, komisarzy policyi oraz pilnych czytelników gazet. Rzucają się na niewinnych ludzi, którzy bałamucą rzekomo młode dzieci przez to, że im dają fach do ręki i torują drogę do zarobku. Zawsze przecież chodzi tylko o początek, który — jak wiadomo — jest trudny. A takich ofiarnych panów, którzy myślą ciągle nietylko o swojej teraźniejszości, ale i o przyszłości bliźnich, mamy we Lwowie bardzo wielu, więc także nic nowego.

Jednem słowem: nie ma sensacyj. Nawet na Radzie miejskiej niema nic ciekawego, bo w tym tygodniu z powodu braku kompletu posiedzenie Rady nie przyszło do skutku, a radni — jak donosi jeden z dzienników — odbyli posiedzenie w restauracyi, potem posiedzenie tajne w kawiarni i dopiero nad ranem rozeszli się do domów. Co w tem ciekawego?

Albo to, że w Stanisławowie przebito żołnierza, co zresztą jeszcze nie jest stwierdzonem, czy — jak twierdzą niektóre dzienniki — kapitan umyślnie pchnął żołnierza końcem szabli w pierś, czy też — jak inne dzienniki piszą — żołnierz zbliżył się tak nieostrożnie, że sam się nadział na koniec szabli pana kapitana. Śledztwo — jak utrzymują fachowcy — wykaże, że żołnierz, chcąc próbować, czy szabla jest ostrą, sam wbił się na szablę i powinien być karany za taką poufałość.

I taka drobnostka w innym czasie nie docze kałaby się rozgłosu, bo przecież zdarzają się większe rzeczy przy wojsku, o których się wcale nie pisze, ale na kanikułę wszystko dobre, a więc i żołnierz przebity przez kapitana.

Natomiast omal nie zrobiła się onegdaj sensacya na ul. Kamiennej, łączącej ul. Pańską z ul. Batorego.

Mieszka przy tej ulicy jakaś „*madame*“, czyli po naszemu akuszerka, która sama przystojną jeszcze będąc, ma przystojniejszą o wiele córeczkę kilkunastoletnią a nadto ma psa.

Szedł sobie onegdaj tą ulicą p. Roman B., który ma także psa. Dwa psy zwąchały się ze sobą, jak zresztą zwyczajnie i p. B. nic złego nie przeczuwając, poszedł w towarzystwie swego psa do domu. Nazajutrz wyjechał w góry na pobyt letni a jego żona otrzymała różowy list, adresowany do męża, zapraszający go na ul. Kamienną. Ma przyjść z białą różą w butonierce. Każda żona jest zazdrosną, a pani B. także. Odpisała więc na wskazany adres „Władysława, *poste-restante*“ — że będzie na ul. Kamiennej o siódmej wieczorem. I przyszła. W oknie siedziała piękna główka, należąca do córki akuszerki. Pani B. odrazu przystąpiła.

— Czy pani pisała do mego męża?

— Ja... ja... — zaczęła się jąkać panienka — a skąd ja... a kto pani mówił, że to było do męża pani?

— Ma pani tu kartkę, to jest pismo pani.

— Ale adres...

— Aha, już wiem, że to pani, a pani skąd przychodzi pisać do obcych mężów i zapraszać ich na schadzki?

— Ale to nie do żadnych mężów, bo to było do psa.

— Co? Pani śmie mojego męża nazywać psem? A ty smarkata jakaś!

Panienka w ten sposób obrażona na honorze rozpłakała się i uciekła w głąb pokoju. W oknie zjawiła się teraz matka.

— Co tu się stało? — pyta przerażona.

— Niech pani powie córce swojej, aby zostawiła w spokoju mego męża.

— Co za męża?

— Ano pisze do niego listy i zaprasza go na schadzkę.

— Ależ moja pani, tu nie chodzi o męża pani, ale o psa państwa. Nasz pies, Musio, zakochał się w psie państwa i od tego czasu nie chce usiedzieć w domu. Z ciężką biedą dowiedziałyśmy się o adresie państwa, no i chciałyśmy połączyć te dwa psy, albo przynajmniej umożliwić im częste schadzanie się.

Pani B. nie odpowiedziała ani słowa i odeszła. Nazajutrz pojechała w góry do męża, aby go spytać, czy tam w tej historyi, prócz psiej miłości, nie było jakiej innej.

I dzięki temu na ul. Kamiennej dotąd nie wybuchła żadna bomba, a nawet nie wypalił żaden rewolwer. *Kl.*

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

11 Ciąg dalszy.

— Przedewszystkiem muszę się panu usprawiedliwić — rzekł Saint Briac — że ośmielam się niepokoić pana odwiedzinami. Byłem pewien, że panowie przekonaliście się dostatecznie o pomyłce i że będziecie się poczuwali do obowiązku okazać mi to przy sposobności, a przytem też zapragniecie, z równą co na wieży gorliwością, zająć się prawdziwym zbrodniarzem. Być może, iż się mylę, zatem z całem zastrzeżeniem chcę mówić o człowieku, wielce mi podejrzanym. Może się mylę, że on jest poszukiwanym mordercą, a nie mylę się w tem, że jest niegodziwcem. Tego człowieka widuję w klubie, gdzie bywa niemal codziennie. Byłoby może potrzebne, czy pożądane, aby ten pan, co widział, jak rzucono nieszczęśliwą kobietę z wieży, zechciał przyjrzeć się podejrzanemu.

— Myśmy go już widzieli — odezwał się Meriadec.

— Jak wygląda? — zapytał ciekawie Saint-Briac.

Baron opowiedział o przygodzie w mordze i dał opis człowieka, w którym Szasza poznał swego ojczyma.

Fabrequette przerwał:

— Ej co tam opisy, słowa, frazesy. Oto najlepszy opis.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni szkic portretu wcale wyraźny.

— Może to on?

— Hrabia Zweimark — zawołał Saint-Briac.

— A widzicie! lepszy pędzel od języka. Skorom tylko dopadł papieru i ołówka, zaraz odrysowałem sobie z pamięci tego wilka.

— Sądzę, że należałoby się jeszcze upewnić— rzekł doktór. — Niech ten mały Rosyanin przypatrzy się szkicowi. Jeżeli on pozna w nim swego ojczyma, stwierdzonem będzie podobieństwo szkicu.

Meriadec przyprowadził Szaszę. Gdy mu szkic pokazano, zawołał:

— To on, co mi mamę gdzieś schował! To on, ten Niemiec, mój ojczym.

— Hrabia Zweimark — odpowiedział Saint-Briac.

— Jaki hrabia? On nie jest żadnym hrabią— odpowiedział Szasza.

— Jakże się nazywa ojczym? — zapytał Meriadec.

— Ja nie wiem. Mama mówiła mu: „Guilhomm“ po francusku. Służba nazywała go rozmaicie, najczęściej mówiła: pan Niemiec. Mikołaj Trofimowicz powiedział raz, że to żaden szlachcic, tylko prosty Niemiec. Raz tylko zobaczyłem kowertę z listu, do niego pisanego. Na kowercie był adres: „Wilhelm Kennemann“. To sobie dobrze zapamiętałem.

— Nowa zagadka — rzekł Meriadec.

Szaszę odprowadzono do Rozalii, z którą się na dobre zaprzyjaźnił i radzono dalej.

Gdy kapitan opowiedział o nocnej wycieczce hrabiego fiakrem na ulicę Marboeuf, rzekł Meriadec:

— Z tego, co mi Szasza opowiadał, domyślać się można, że ich zawieziono w nocy właśnie na ulicę Marboeuf. Opowiadał, że jechali w górę, po spadzistej ulicy. Wszystkie szczegóły, które zapamiętał, przemawiają za tem, że to była ta ulica. To przypuszczenie potwierdza nocna wycieczka, tak zagadkowa. Prawdopodobnie tam jest istotna siedziba, czy nora zbrodnicza i tamby go pochwycić trzeba.

— Ja to zrobię — zawołał Fabrequette — ja się do tej nory dostanę.

— Przedewszystkiem — rzekł Daubrac — trzeba podejrzanego pokazać Szaszy. Skoro bywa w klubie, możnaby malca gdzieś ukryć w pobliżu, o tej porze, gdy do klubu zwykł chodzić. Możeby pan Saint-Briac wziął malca w opiekę i pod klubem straż zaciągnął.

— Wybaczcie panowie, że ja tego nie uczynię. Mówiłem panom zupełnie szczerze, iż nie mogę ściągnąć na siebie podejrzenia tego człowieka. Nielękam się o siebie, jeno o niewinną kobietę, którąby skompromitował, gdyby dostrzegł, że go śledzę, przy tej sposobności raz jeszcze upraszam panów, abyście działali tak, żeby moja osoba została na uboczu.

— A więc poprosimy pannę Verdier — rzekł Meriadec.

Zgodzono się na to.

Narady nie trwały długo. Nasunęły się dwa zadania. Sprawdzić, czy hr. Zweimark i ojczym Szaszy są tą samą osobą i zbadać tajemnicze mieszkanie przy ulicy Marboeuf.

Saint-Briac ponownie prosił, aby jego nazwiska nie wymieniano nigdzie, aby go też nie odwiedzano w mieszkaniu. Był pewien, że Zweimark ma wspólników zbrodniczego życia, a wspólnicy tworzą też dobrze zorganizowaną szajkę szpiegów, śledzących każdego, kto im w drogę wchodzi. Przekonała go o tem nocna przygoda.

Przyrzeczono mu najściślejszą dyskrecyę. Pożegnali się.

Gdy kapitan wychodził, tak był zamyślony, że nie dostrzegł jakiegoś ciekawca, co z drugiej strony ulicy uporczywie w dom barona się wpatrywał.

V.

Po tej naradzie wojennej wyszedł Daubrac z Fabrequettem. Daubrac zdążał na obiad, a malarz wciąż mu towarzyszył, chociaż doktor nie bardzo sobie tego życzył. Może nawet cokolwiek się do malarza uprzedził, tłómacząc sobie nie bardzo korzystnie jego roztrzepanie. Chcąc się go pozbyć, rzekł Daubrac sucho i stanowczo:

— Pożegnam pana, gdyż idę na obiad.

— Jaki pan szczęśliwy! — rzekł malarz żartobliwie.

— Chyba to szczęściem nie jest, jeżeli się je obiad.

— Ale nieszczęściem, jeżeli się nie je obiadu.

— Chyba tego nieszczęścia pan nie doświadcza?

— Ależ panie, bardzo często. Dziś także grozi mi takie nieszczęście.

Doktór nie umiał sobie wytłomaczyć, czy to pieczeniarstwo przemawia przez malarza, czy też łobuzowska szczerość. Kierując się w życiu raczej optymizmem w sądzeniu ludzi, niż podejrzliwością, skłonił się Daubrac do mniemania, że z ust malarza przemawia tylko szczerość i prostota.

— Czy pędzel tak mało daje dochodu?

— Bywa rozmaicie. W zeszłym miesiącu wymalowałem masarzowi szyld, wiernie według jego własnego pomysłu. Była na nim głowa wieprza, dwie kiełbasy i cztery kiszki. Może pan sobie wyobrazić, jakie to arcydzieło. Otrzymałem za nie piętnaście franków, na czysto trzy franki więcej, niż farby kosztowały. Ale byłbym niedzięczny, gdybym nie dodał, że wspaniałomyślny masarz, obdarza mnie codziennie porcyjką wędlin. Ale niechże też pan nie myśli, że ja tylko godła masarskie maluję. Owszem! zdarza mi się niekiedy malować i portret. Moja praczka dała mi zarobić znaczną kwotę, bo aż trzydzieści franków; wymalowałem jej portret syna, który służy w straży pożarnej. Ale cóż z tego, kiedy z owych trzydziestu franków odciągnęła sobie dwadzieścia siedm za pranie bielizny, przez cały rok.

— Lepszej klienteli pan znaleść nie może?

— Możeby się i znalazła, ale na to potrzeba mieć ubranie cośkolwiek modniejsze od mojego, wyrabiać sobie stosunki pośród dziennikarzy, zjednać sobie reklamę, no i nadąć się cośkolwiek, ustroić się w wielką powagę, a ja tego wszystkiego nie umiem. Ale co tam, z głodu nie zginę, masarz wędlin dostarcza.

— A możeby pan dziś pozwolił, dla odmiany, zaprosić się na obiad, bez wieprzowiny — rzekł Daubrac, któremu łobuzowska szczerość Fabrequetta podobać się zaczęła.

— Nie zła myśl, panie doktorze. Przyjmuję chętnie to zaproszenie, jako zadatek na jakąś robotę, którą pan u mnie zamówi.

— I owszem, z całą przyjemnością skorzystam z talentu pańskiego.

Weszli do jednej z przedniejszych restauracyi, gdzie było dość pusto, bo już właściwa pora obiadowa minęła.

— Doskonale nam się wydarzyło, że nie ma prawie nikogo, będziemy tu mogli swobodnie rozmawiać. Siądźmy sobie tutaj w samym kącie. Gdyby nawet kto jeszcze przyszedł, to mielibyśmy przynajmniej sąsiada przed sobą, a nie za sobą.

Zasiedli wygodnie, Daubrac zamówił obiad, któremu malarzowi wydał się niesłychanie zbytkowny. Potem zaczęli rozprawiać o planach wojennych.

— Powiadam panu — rzekł Fabrequette — że ja znajdę ten dom na ulicy Marboeuf. Tam musi być jaskinia jakichś łotrów.

— Niech pan nie mówi tak głośno — szepnął Daubrac — bo oto mamy już sąsiada.

Jakiś niepozorny człeczyna szedł wciąż za nimi, czego na ulicy nie spostrzegli, a teraz usiadł w restauracyi obok nich, przy najbliższym stole. Zamówił jakieś potrawy, wskazując służącemu palcem na spisie, a na zapytanie, czy każe sobie podać wina, rzekł głośno:

— Nie słyszę. Co? głośniej!

Służący powtórzył pytanie dość głośno, ale przybysz i teraz jeszcze wołał:

— Co? głośniej! Nie słyszę.

Był to człowiek w podeszłym wieku, ze siwą brodą, zgarbiony; na oczach miał założone niebieskie okulary.

— A to głuszec — zawołał Fabrequette.—Przy nim możemy sobie swobodnie rozmawiać.

— Niekoniecznie — szepnął doktór. — Mnie się ta jego głuchota bardzo podejrzanie wydaje.

— Zaraz się przekonamy — rzekł cicho malarz i zawołał głośno: — może to jaki szpieg udający głuchego.

Stary człowiek widać nie słyszał, bo ani się poruszył, ani nie drgnął i czytał najspokojniej gazetę.

— A widzi pan — rzekł malarz — próba się doskonale udała; żeby nie był naprawdę głuchym, to by był bodaj cokolwiek się poruszył, gdym go szpiegiem nazwał.

— Mimo tego radzę być ostrożnym.

Nie podobna było nakłonić malarza, aby był ostrożnym. Krzykliwy z natury, nie krępował się niczem.

— Wyborna zupa! już ten wstęp do obiadu przejmuje mnie wielką dla pana wdzięcznością. Zaraz zabiorę się do jakiegoś obrazu dla pana, skoro tylko odkryję jaskinię opryszków na ulicy Marboeuf. Ale niech też mi pan powie, dlaczego baron upiera się przy tem, aby działać na własną rękę, a nie chce wezwać interwencyi policyi?

— Przecież słyszałeś pan, że Saint-Briac chce zachować w tajemnicy nazwisko kobiety, która z nim była na wieży.

— Ależ czy tak, czy owak policya będzie musiała zająć się tym ptaszkiem, bo choćbyśmy go pochwycili, to go przecież nie będziemy więzili w jakiejś piwnicy, tylko oddamy władzy. Właściwie powiedziawszy, to już bardzo prędko możemy go pochwycić. Skoro tylko panna Verdier z tym małym Rosyaninem stanie na czatach przed klubem, fakt będzie dostatecznie wyjaśniony, bo chłopiec zdoła przecież poznać swojego ojczyma.

— Chłopiec może poznać ojczyma, ale to jeszcze nie będzie dowodem, że ten ojczym jest mordercą jego matki. Ja nie mam czasu zajmować się tą sprawą, ale będę bardzo wdzięczny, gdy mnie panowie będziecie o wszystkiem informowali.

— Tak, tak, teraz mi czas na ulicę Marboeuf. Spodziewam się, że odkryję jaskinię strasznego łotrostwa.

— Niechże pan tak głośno nie mówi—szepnął doktor, wskazując nieznacznie na sąsiada.

— Ależ to głuszec panie, głuszec.

Stary człowiek skończył obiad, zapłacił i wyszedł.

A widzi pan panie doktorze, że ten człeczyna to nie żaden szpieg, bo gdyby nim był, toby teraz nie opuszczał lokalu, ale czekał, aż my wyjdziemy, aby nas śledzić.

Doktór i malarz także zjedli i rozeszli się. Daubrac wręczył na odchodnem malarzowi dziesięć franków i rzekł:

— Zadatek na obraz, który u pana zamówię.

— Łaskawco, doktorze, dzieluy z pana człowiek. W samą porę, bo nie miałem już ani jednego centima.

Daubrac pospieszył do szpitala, Fabrequette zagwizdał wesołą nutę, kupił sobie cygaro i podążył na ulicę Marbeuf.

Puszczał kłęby dymu z wonnego cygara, idąc przez plac Concordia, a potem przez Avenue Champs-Elysees, a gdy już zbliżał się do ulicy Marbeuf, zagasił cygaro, schował je starannie, a natomiast wyjął z kieszeni krótką fajeczkę, napełnił tytoniem i zapalił, aby mieć wygląd zwykłego robotnika malarskiego, poszukującego pracy.

Na początku ulicy Marbeuf był duży warstat powoźniczy. Fabrequette malował tu niedawno herby i monogramy na powozach, więc wszedł śmiało do warstatu. Przyjęto go tam życzliwie. Nie gardził robotnikami, rozweselał wszystkich, polubiono go, to też skoro wszedł, powitano go wesoło.

Werkmistrz aż pod boki się schwycił, zobaczywszy wesołego malarza.

— Ho! ho! — zawołał — nasz artysta! Co pan tu porabia?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czyje kosztowności?

Z końcem lipca przyaresztowała policya w Stanisławowie podejrzane indywiduum, Teodora Holma vel Jakóba Baczakiewicza i znalazła przy nim mnóstwo drogocennych przedmiotów. Rzezimieszek ten znany jest dobrze policyi krakowskiej. Tu bowiem, wspólnie z towarzyszem zawodowym Kuźmińskim, znajdującym się obecnie również pod kluczem, dopuścił się całego szeregu włamań i kradzieży. Wówczas też Baczakiewicz, czując za sobą pościg policyi, umknął z Krakowa. Wpadł w ręce władz bezpieczeństwa dopiero w Stanisławowie. W jednym z szynków mianowicie dzielił się łupem ze świeżej kradzieży z jakimś drugim rzezimieszkiem. W krytycznej chwili udało się owemu wspólnikowi uciec, część łupu jednak porzucił, a reszta, ktorą znaleziono przy aresztowanym Baczakiewiczu, przedstawia okazałą kolekcyę klejnotów, wysokiej wartości.

Na znaleziony zbiór składają się mianowicie: 21 sztuk różnych złotych pierścionków, 6 sztuk serduszek, 1 para złotych kolczyków, 2 kwity zastawnicze stanisławowskiej kasy oszczędności na zastawione pierścionki, 115 złotych pierścieni, 8 sztuk serduszek, 9 sztuk złotych krzyżyków, 8 par złotych spinek, 3 spinki pojedyncze, 1 łańcuszek srebrny na szyję, 1 łańcuszek srebrny do opasania, 1 łańcuszek srebrny z turkusami na szyję, 4 łańcuszki srebrne z turkusami na szyję, 10 sztuk srebrnych łańcuszków do branzoletek, 30 par różnych kolczyków złotych, 7 spinek złotych do gorsu, 3 spinki złote do gorsu, 1 spinka złota z granatem, 11 pojedynczych różnych kolczyków, 2 kółka z perłami, 8 pojedynczych śrubek do uszu i 6 par śrubek do uszu.

Ponadto znaleziono przy złodziejach kartki zastawnicze na biżuteryę. Zachodzi podejrzenie, iż Baczakiewicz i Kuźmiński są sprawcami głośnej kradzieży w dworze p. Bogdanowicza w Łagiewnikach i w mieszkaniu p. Borzęckiego w Dębnikach.

Sąd stanisławowski poszukuje obecnie za naszem pośrednictwem właściciela, względnie właścicieli wymienionych klejnotów. Fotografię ujętego złodzieja zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Czyje kosztowności: Teodor Holm vel Jakób Baczakiewicz.

Zagadki do nagrody

Szarady.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

I.

Pierwsze czworonożne zwierzę
Rzadkie dziś, a znane z siły.
Drugie z trzeciem ma dziób, pierze,
A więc ptak to dosyć miły,
Chcesz *całości* dojść w tych znakach,
Szukaj jej w królestwie ptaków.

II.

Drugą z pierwszą
W miłosnej szukaj gwarze,
Trzecia zaś z czwartą jest to część ciała
Którą ci wskaże dziecina mała
A chcesz *całości* poznać osnowę
To musisz sobie nałamać głowę.

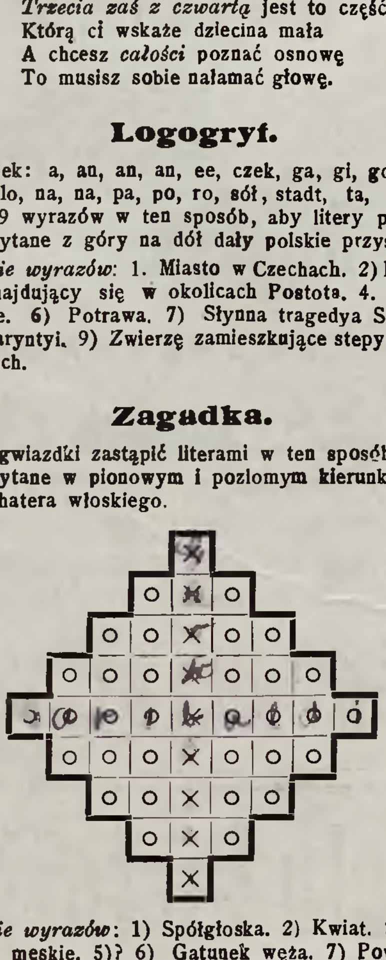
Logogryf.

Ze zgłosek: a, an, an, an, ee, czek, ga, gi, go, jo, kaupr, krze, li, lo, lo, na, na, pa, po, ro, sól, stadt, ta, ty, ty, wiec, zef, ułożyć 9 wyrazów w ten sposób, aby litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół dały polskie przysłowie,

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Czechach. 2) Imię żeńskie. 3) Pająk znajdujący się w okolicach Postota. 4. Choroba. 5) Imię męskie. 6) Potrawa. 7) Słynna tragedya Sofoklesa. 8) Miasto w Karyntyi. 9) Zwierzę zamieszkujące stepy krajów podzwrotnikowych.

Zagadka.

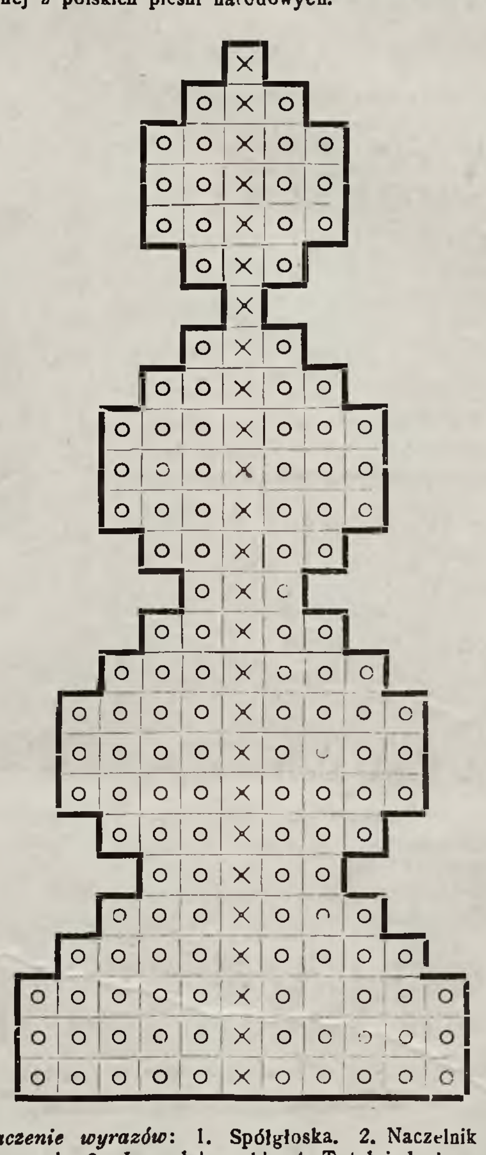
Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły nazwisko bohatera włoskiego.



Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Kwiat. 3) Imię żeńskie. 4) Imię męskie. 5)? 6) Gatunek węża. 7) Powieść Prusa. 8) Imię żeńskie. 9) Samogłoska.

Logogryf.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, utworzyły pierwszą zwrotkę jednej z polskich pieśni narodowych.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Naczelnik rządów w Chorwacyi. 3. Jenerał boerski. 4. Tytuł jednej z powieści Orzeszkowej. 5. Miasto na Śląsku. 6. Rzeka w Rosyi 7. Samogłoska. 8. Kość rybia. 9. Znakomity wódz francuski. 10. Długi ostry nóż, noszony w pochwie. 11. Jeden z wodzów rzymskich. 12. Inaczej flance. 13. Instrument muzyczny dęty. 14. Miara pola. 15. Zwierzę domowe. 16. Grupa gór należących do karpat. 17. Tytuł komedyi Zabłockiego. 18. Inaczej Konstantynopol. 19. Masło sztuczne. 20. Imię wielu książąt ruskich. 21. Miasto na Riwierze francuskiej. 22. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 23. Nazwisko komedyo-pisarza polskiego. 24. Inaczej kalumnia. 25. Znakomity lekarz polski, posiadający przydomek »króla Tatr«. 26. Nauka o kamieniach.

Kwadrat magiczny.

(Ułożył S. Wygrzywalski Kraków.)

Słowa złożone z podanych liter czytane jużto w kierunku poziomym jużto w pionowym z góry są te samo odpowiednio.

a	a	a	a	a
a	a	c	i	i
k	l	l	n	n
o	o	o	o	p
p	t	t	z	z

Znaczenie wyrazów: 1) przysłówek. 2) Minerał. 3) inaczej okrycie. 4) Dawna broń. 5) Imię biblijne.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy 1 funt wybornych cukierków z cukierni p. Piaseckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 31.

Logogryf

Na wulkanie.

Zagadka literacka.

Sienkiewicz, Zaleski Bohdan, Niepoprawni, Izora Odynlec, Czajkowski, Ibsen Henryk, Kuncewicz Zgon Acerna, Alpuhara, Asnyk Adam, Maraton, Niewinni, Iliada, Agaj han, Natan, Nowella, Arab, Byron, Na ruinach.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: F. Niepokój Krosno, M. Opolska Czarny Dunajec, M Burdowicz Buczacz, T. »Zgoda« Krosno, K. Fuchs Czeremchów, P. Drzewiecka Skwarzawa, K. Iwielski Jarosław.

Nagrode przez losowanie otrzymał p. K. Iwielski Jarosław. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Lwów. jego rozwój kulturalny oraz przewodnik po mieście (Lwów 1907, skład w księgarni H. Altenberga, str. 623), skreślił prof. dr. Józef Wiczkowski. Obszerne to dziełko jest pamiątką, ofiarowaną uczestnikom X. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich przez Wydział gospodarczy. Po za tem pamiątkowem i aktualnem znaczeniem, ma praca dr. Wiczkowskiego i znaczenie ogólne, jako doskonały, bardzo plastyczny obraz stanu kultury miasta Lwowa. W skład tego dziełka wchodzą prace prof. dra Wiczkowskiego, dr. Czołowskiego, prof. Łomnickiego, prof. dr. Romera, prof. B. Błockiego, inżynierów Aleksandrowicza, Goreckiego i Taroniego, dyr. Krzyształowicza i p. Cepnika. Sporo miejsca zajmuje statystyka ludności, a dalej daty z dziedziny oświaty, stosunków i instytucyi sanitarnych, tow. naukowych, przemysłowo-gospodarczych, dobroczynności, wreszcie opis muzeów, archiwów, bibliotek, zbiorów prywatnych, teatrów, oraz krótki ale szczegółowy opis miasta i jego pamiątek. Książkę uzupełnia plan sytuacyjny miasta Lwowa oraz dział informacyjny.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

Kącik humorystyczny.

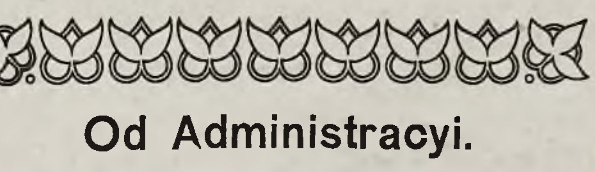
Mniej groźne.

Pan Z. (do żebraka): Albo podejmiecie się tej pracy, którą wam daję — albo zawołam policyanta, by was aresztował za żebraninę.

Zebrak (po namyśle): No to — niech pan już lepiej zawoła policyanta.

Niepotrzebna irytacya.

Pan A (znany bibosz w gronie takich samych przyjaciół): Nie rozumiem dlaczego wy wszyscy tak wygadujecie na antialkoholików..... Ja sam niedawno wypiłem pół szklanki wody i wcale mi to nie zaszkodziło.



Telefon 43. **KRAKÓW** Telefon 43.

Magazyn HENRYKA SCHWARZA Grodzka 13

wełny, jedwabie, okrycia, żakiety, kostyumy, bluzki, halki.

»KOSMOS«

77—30

znakomite hygieniczne

Tutki do papierosów

poleca fabryka St. Wołoszyńskiego Kraków, Krupnicza 2[illegible]

Do nabycia we wszystkich trafikach i handlach.

Niema wypadania włosów!

ELLA-środek na porost włosów



jest dziś uznanym za najlepszy środek przeciw łysinie i wypadaniu włosów.

Czyści i odświeża skórę. Na tłuste włosy cena jednej małej flaszki K 3·60, wielka flaszka K 5·—. **Pomada** do suchych włosów, mały słoiczek K 3·60, wielki K 5·—.

BARIN zmienia farbę włosów, brody i wąsów w paru minutach! Nie pozostawia żadnych plam, bo nie jest farbą lecz wyciągiem roślinnym. — **Cena 4 i 6 kor.**

Liczne listy z uznaniem z całego świata!

ELLA-KREM do twarzy niszczy wszelką nieczystość, czyni skórę miękką i młodą. Cena według wielkości **1, 2, 3 i 5 kor.**

ELLA-MYDŁO K 1·—

ELLA-PUDER do twarzy K 1·—

Wszystko to można dostać u:

BAROS GÁBOR

fabryka kosmetyków i perfumeryi.

Główna sprzedaż i biuro:

Budapeszt Dohány-utcza 1, Depot 48

Telefon 8—72

Fabryka: I. Városmajor-utcza 42 (własny dom), Tel. 45—45.

Wysyłka pocztowa 2 razy dziennie za zaliczką lub poprzedniem nadesł. należytości. Cennik ze sposobem użycia darmo i opłatnie.



Bieliznę męzką

Kapelusze • Czapki

Płaszcze gumowe!

Obuwie amerykańskie

Kufry i wszelkie przybory do podróży

poleca 27—39

Magazyn konfekcyi męzkiej i fabryka rękawiczek

Braci Bilewskich

Kraków, Floryańska 33 (róg ul. Św. Marka)



Najnowszą Zapalniczkę spirytusową

wysyłam franco za nadesłaniem 1 K 65 hal., 3 sztuki po K 1·30.

31—35

C. DORNBAUM

LWÓW. UL. KRAKOWSKA L. 2

DALMIOS

z watą „Salvesol«

Tutki cygaretowe egipskie, ozdobne — dla wybrednych smakoszy.

Palą się równo i lekko, nie czernieją, smak mają łagodny, nie spalają się szybko, wskutek tego dym jest chłodny, co jest wielką zaletą tutek cygaretowych.

Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“; pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

Oryginalny pakiecik „WATY SALVESOL“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

10 cygarniczek szklanych K 1·20

Pakiecik waty »Salvesol« 30 lub 60 hal.

1000 tutek cygaretow. »Dalmios« K 3·20

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych

(1) **„NORIS“**

Mr W Bełdowski, Kraków

DALMATYN tępi wszelkie owady i robactwo każdego gatunku

Niema tańszego środka nad wszędzie ulubiony **DALMATYN**

DALMATYNU można dostać w patentowanych dozach. po **20, 30 i 50 hal.**

Dmuchawka gumowa jest zbyteczną przy pojedyncyzm **DALMATYNIE**

Jest on tak prostym w użyciu, tak pewnem jest jego działania, że wszystkie inne środki przewyższa.

Do otrzymania w handlach korzennych i drogueryach.

Główna wysyłka: **„STELLA“** Chem. fabryka Budapeat (D. Lederman) VII, Nefelejts-u 39.

Główny skład we Lwowie: Alojzy Hübner.

Przyjemne i suche palenie, przeto w czystości i smaku nieprzedścigniona.



Fajki z drzewa Bruyèra,

przedni fabrykat z prawdziwego niezniszczalnego drzewa Bruyèra.

Gładka główka z wygiętym odlew. z Bruyera cybuch wiśniowy z ustnikiem z rogu i rurką z jedwabiu, około 21 cm. długa K. 1·50. Ta sama fajka, jednak z rzeźbioną naokoło główką z drzewa Bruyera K. 1.60. Największy wybór przyrządów dla palących znaleźć można w mym katalogu, który wysyłam darmo i opłatnie. Do nabycia przez

c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 1496 (Czechy).

Proszę we własnym interesie zażądać mego bogato ilustrowanego polskiego katalogu z przeszło 3000 odbitkami darmo i opłatnie.

31—45

Kraków Sławkowska L. 3 — Telefon 516

Kraków Hotel Saski — Telefon 516



ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego



i przyborów do podróży.

Cenniki ilustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Pierwsza galic. Fabryka wyrobów z Marmuru

B. KROLIK, we Lwowie, ul. Janowska 24

(ulica Szwedzka L. 3, dom własny, naprzeciw kościoła św. Anny)

Poleca Płyty z marmuru do mebli i celów budowlanych po cenach bardzo przystępnych

---

Fabryka Stanisława HOFA

W KRAKOWIE poleca znakomitą: **HOFA** polską pastę do obuwia **HOFA** polską pastę do metali **HOFA** proszek do prania i mydło

których to wyrobów należy żądać we wszystkich handlach.

---

* Hotel Victoria

Telefon 780 **Kraków, ulica Zwierzyniecka 6.** Telefon 780

piękne położenie, obok plantacyj, centrum miasta, 2 minuty od rynku, stacya tramwaju elektrycznego, nowo odrestaurowany i powiększony poleca pokoje umeblowane od **K 1·—** za dobę wraz z obsługą. Nowo otworzona **Restauracya i Kawiarnia.** — Posłaniec hotelowy do każdego pociągu. — **Łazienki w**

Hotelu Victoria *